Nr. 68. Lwów, Niedziela dnia 15. Grudnia 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Kiedy pierwszej niedzieli po odejściu swem zobaczyła Władka zdala idącego, pobiegła na jego spotkanie jak szalona.

— Nie ma starej? — zapytał.

— Nie ma! nie ma! do kościoła poszła!

— To dobrze; posiedzim sobie tutaj.

Usiadł na stoku góry spuszczającej się ku przedmieściu i wystawiając na słońce nowe obuwie swe, aby lepiej błyszczało, zaczął opowiadać towarzyszce o wszystkiem, czego się przez tydzień cały napatrzył i nasłuchał.

— Te złote okna — mówił — na które ty zawsze tak oczy wytrzeszczałaś, to lustra, takie wielkie, że człowiek widzi w nich siebie od nóg aż do głowy... a ten stół ogromny, po którym takie kule kościane latają, to bilard...

— Co to? — zapytała Marcysia.

Tłómaczył jej znaczenie bilardu, którego sam nie rozumiał jeszcze dobrze. To tylko wiedział, że kto umie doskonale kule te kijami potrącać, może dużo pieniędzy wygrać.

— Przypatrzę się... i będę umiał... a jak będę umiał wygram sobie pieniędzy gmach i bogatym zostanę.

— Stryj nie pozwoli, żebyś mu ten stół niszczył — zauważyła Marcysia.

— Będę ja jego pytał się! tam na Niskiej ulicy jest takie miejsce, gdzie każdy sobie gra kto chce... i Franek gra, bo już umie... Szczęśliwy ten Franek! zawsze pierwej do wszystkiego dopadnie jak ja... prawda że starszy, no, i ojciec jego, który za lokaja służy, lepiej go kierował niż mnie ta wiedźma..

— Wiesz? — mówił dalej — jak na tych czerwonych krzesłach dobrze siedzieć... tak miękko! Wczoraj, kiedy goście porozchodzili się, siadłem sobie na krześle i tak wyspałem się jak w łóżku.

W ogóle, znać było, że czuł się zadowolonym z położenia swego, i że w głowie roiły się mu nieokreślone, niejasne, lecz gorące pożądania i nadzieje. W kilka tygodni potem, przyszedłszy po raz drugi, z zamyśleniem rzekł do Marcysi:

— Dochodzą ludzie... dojdę i ja! umiem już zgrabnie podawać gościom lody i czekoladę, a stryj zrobi mię prędko markierem.

— Co to? — zapytała.

— Markier, to ten chłopiec co przy bilardzie stoi i liczy wiele kto przegrał, albo wygrał. Będę stał przy bilardzie, patrzał i uczył się...

Skarżył się tylko na żonę stryja, że łaje go często, krzykliwe dzieci swe nosić mu każe i do herbaty daje chleb bez masła.

— Ale to nic! — dodał — zawsze tam życie jak raj, w porównaniu do tego co wprzódy było. Gdzie zaś! Człowiek sobie zje dobrze, wyśpi się wygodnie i pomaleńku uczy się jak obracać się w świecie. Żebyś ty tam była, tobyś gębę otwierała słuchając jak u nas goście pomiędzy sobą rozmawiają. Nie zrozumiałabyś nic a nic. I ja wprzódy nie rozumiałem, ale teraz zaczynam rozumieć... No, zgaduj o czem oni najczęściej gadają?

— O czem? — zapytała Marcysia.

— O pieniądzach! — odpowiedział z powagą. — Tak, tak — dodał — na tem świat stoi. Kto grosza nie ma ten grosza nie wart... a kto go ma! hej! hulaj dusza! wszystko za pieniądze... i buty i surdut i jedzenie i zabawa!

Wstał, wyciągnął się i wskazując palcem biały, obszerny dom ogrodnika, nad samym brzegiem rzeki, na krawędzi miasta stojący, rzekł:

— Żeby choć takim bogatym być jak te ogrodniczysko... Franek tam teraz do kopania najmował się..- mówił, że on pieniądze w skrzyni na strychu chowa...

Chciał mówić dalej, ale przerwała mu Marcysia:

— Patrzaj! patrzaj Władek! — zawołała i wyciągniętym palcem wskazywała coś w powietrzu.

Lubuś wracał z odległej wycieczki jakiejś, szybkim lotem zlatywał ku niej i usiadł na jej ramieniu. Ujęła go w obie dłonie i Władkowi podawała.

— Jaki on dobry! — mówiła — wiesz? on ciągle za mną lata...

Chłopiec nie patrzał na nią ani na gołębia. Wzrok jego roziskrzony pod żółtemi brwiami tonął w gęstwinie domów miejskich, jakby śród niej szukał czegoś i upatrywał. Po ustach biegały mu przelotne uśmiechy.

— Adie! — zawołał i nie spojrzawszy na dziewczynkę siedzącą z gołębiem w dłoniach, pobiegł ku miastu.

W jesieni i w zimie przychodzić zaczął daleko rzadziej.

Zimowe wieczory gwarnie najczęściej schodziły w chacie Wierzbowej. Posiadała ona liczne stosunki pomiędzy klasą miejskich służących, którzy też przybywali do niej tłumnie, to prosząc o nastręczenie służby, to żądając pożyczki, to wprost na pogadankę ze starą i pohulanie sobie u niej w wesołej kompanii. Wierzbowa, pogadanek i pohulanek nie unikała. Owszem, służyły jej one za sposób przyciągania ku sobie ludzi, względem których odgrywała rolę pająka, łowiącego w sieci swe muchy i żywiącego się niemi. Powiadano że zbierała pieniądze; co pewna, to że kupiła już na własność chatę w której mieszkała, i przylegający do niej ogródek, a w rzadkich chwilach wywnętrzań się opowiadała o marzeniach swych, których celem była mała kamieniczka wznosząca się na przedmieściu białemi ścianami po nad niskie szare domki.

Wieczorami, przychodziły do niej niekiedy rówieśnice jej, stare jak ona kobiety, uboższe tylko od niej, zbiedzone i spragnione częstunku,

dziewczęta starające się o służbę, praczki, kucharki, lokaje i stangreci. Towarzystwo to obsiadało długi stół u ściany stojący i oświetlony łojowym kagankiem, rzucającym pod niski sufit krętą, brudną i cuchnącą nić dymu. Wierzbowa stawiała na stole butelki z wódką, śledzie, ser twardy, niekiedy czarne kółka kiełbasy i pęk znizanych na sznur obwarzanków. Ludzie jedli, pili, przedewszystkiem pili, o biedach swych i troskach opowiadali, mężczyźni przypijali do kobiet, z których jedne ze wstrętem i odrazą odtrącały czarki z napojem i wysuwały się z izby, inne wychylały je raźnie chichocąc i grubemi żartami odpowiadając na grubsze jeszcze zaczepki. Czasem, gdy dobry humor towarzystwa wzrastał, gdy interes jakiś pomyślnie był załatwionym, służba dobra wynalezioną, albo dług dawno zaległy zwróconym został, pośrodku stołu zjawiał się miedziany kociołek napełniony alkoholicznym wyskokiem, a nad nim, zwieszony na stosownym przyrządzie wielki kawał cukru. Wtedy, z nad kotła wybuchał siny płomień palącego się spirytusu, oświecał ściany i wszystkie zakąty izby błękitnawem światłem i błękitnawą też bladość rzucał na twarze, męzkie i kobiece, które roztarganemi warkoczami otoczone, lub ocienione zmiętemi czapkami, skupiały się wszystkie ku środkowi stołu i przybliżone ku sobie, ciasnym wieńcem otaczały kocioł, pochylając się ku niemu coraz bliżej i z coraz większem zachwyceniem w oczach i uśmiechach, przypatrując się lejącemu się do kotła deszczowi grubych, czerwonych kropel roztapianego cukru. Woń spirytusowa mocna, upajająca, zmięszana z tłuszczowym dymem łojowego kaganka, rozchodziła się po izbie; cisza oczekiwania zapanowała przy stole, tylko czarki blaszane brzękały w bardziej niecierpliwych rękach, albo głos jakiś kobiecy zachichotał nagle albo burknęło półgłosem wyrzeczone przekleństwo.

W wieczory takie, Marcysia siadywała na ziemi pod piecem, przypatrywała się przychodzącym ludziom, słuchała gwarnych rozmów, ścigała oczami grube i nierzadko rozjątrzone gesta, uśmiechała się z rubasznych żartów i zawiązujących się dokoła stołu ciężkich, hałaśliwych gonitw. Często usypiała w atmosferze tej krzykliwej, dymnej, przejętej smrodem łoju i odurzającym wyziewem trunku, a gdy błękitny płomień buchnął z kotła, można było spostrzedz w ciemnym kącie głowę jej opartą na zwiniętym sienniku i bladą od padającego na nią sinego blasku. Czasem jednak nie usypiała, owszem zdawała się czujnie dopilnowywać chwili, w której gwar był największy i uwaga ogólna najsilniej na jeden punkt zwróconą; wstawała wówczas z ziemi, cichutko zarzucała na głowę i plecy podartą, szarą chuścinę i wysuwała się z chaty.

Tu, zaraz za progiem, ogarniało ją mroźne powietrze zimowej nocy, śnieg uścielał stok góry, gwiazdy iskrzyły się pod ciemnem niebem; w głębi jaru cicho było i pusto jak w grobie, a tylko nad śnieżystą powierzchnią wierzby niby skielety wysuwały nagie ramiona, w dali, za rzeką miasto huczało, szumiało i mrugało rojem złotych oczów.

Marcysia schodziła z góry, pomimo śniegów głębokich, zręcznie, wprawnie, szybko. Schodziła też z wysokiego brzegu rzeki i szła po lodzie, drogą oznaczoną dwoma rzędami czerniejących jodełek. Rozmijała się tu z wielkimi wozami na saniach, ze zgrabnemi, jak błyskawica szybkiemi saneczkami miejskiemi, z mnóstwem ludzi pieszo przebywających lodową drogę łączącą miasto z przedmieściem. Nic nie przestraszało ją i uwagi jej nie zwracało. Czasem tylko, gdy księżyc świecił, zatrzymywała się na chwilę, aby popatrzeć na smugę bladożółtego światła, przeglądającą się w lodzie jak we szkle i rozbijającą się na śniegu w milion iskier jak brylantów. Potem szła dalej, coraz prędzej, przez ulice miasta, pod oknami magazynów buchających światłem lamp, mimo wszystkich kamienic za oświetlonemi oknami których brzmiała muzyka; brzegiem chodników, tuż pod ścianami domostw przesuwała się szybko jak cień szczupły, trwożny i pokorny, aż stawała przed oknami cukierni, za któremi paliły się lampy, błyszczały pozłociste bombonierki i rozlegały się miarowe stuki kul billardowych. Stawała pod jednem z okien, wspinała się na palce i przykładała twarz do szyby.

Za oknem, w dymnej atmosferze, śród której jak we mgle, mętnie błyskały kinkiety u ścian ustawionych rzędami żółtych krzeseł, rysowały się dokoła bilardu postacie mężczyzn grających i przypatrujących się grze. Wśród nich, stał smukły, blady chłopak z kijem na ramieniu i ścigając oczami toczące się po zielonem suknie kule, donośnym głosem wykrzykiwał przeróżne cyfry. Twarz jego nabierała przytem ruchliwości niezmiernej, usta wykrzywiały się i uśmiechały, po czole przebiegały zmarszczki, oczy błyskały ciekawością, radością, to złością naprzemian, pod żółtemi brwiami, które drgały niecierpliwie, to zsuwały się chmurnie. Czasem, rumieniec gorączkowy wybijał się na blade jego policzki i wykrzykując cyfrę jakąś podskakiwał on i śmiejąc się ukazywał dwa rzędy białych zębów, czasem, na mgnienie oka odwracał wzrok od bilardu i pożądliwem spojrzeniem ścigał ręce gości niosące do ust kufle spienionego piwa lub szklanki napełnione złocistym ponczem.

Dziewczynka za oknem stojąca przypatrywała się długo scenie odbywającej się we wnętrzu cukierni, a na twarzy jej przyklejonej do szyby powtarzały się wiernie wszystkie uśmiechy i drgnienia przebiegające twarz smukłego, bladego markiera. Nie rozumiejąc dobrze o co idzie, wraz z nim cieszyła się, gniewała-niecierpliwiła się i pożądała.

Potem, goście rozchodzili się stopniowo, u ścian bilardowej sali gasły kinkiety, w cukierni zapanowała cisza i ciemność. Marcysia odchodziła przystając jednak na chodniku od chwili do chwili, jakby na coś oczekiwała. Oczekiwanie jej nie zawsze pozostawało bez skutku. Kilka razy zobaczyła Władka wychodzącego śpiesznie z bramy i pod ścianami kamienic zdążającego w głąb miasta. Próbowała zawsze dogonić go, lecz szedł tak prędko, że nie mogła, przytem bała się strasznie policyantów, z których jeden pochwycił ją był raz za chustkę i po długich pytaniach kim jest i po co włóczy się po ulicach, rozkazał wracać do domu, a na pożegnanie mocno ją pięścią w plecy uderzył.

Rzadko więc bardzo zdobywała się na odwagę dopędzania Władka wtedy, gdy opuściwszy cukiernią, dążył on kiedyś, pomiędzy spuszczające się nad rzekę, wąskie, błotniste uliczki miasta. Raz jednak szła za nim dłużej niż zwykle i zobaczyła go wchodzącego do niskiej, wpół rozwalonej budowy, o małych okienkach, osłonionych zamkniętemi okiennicami. Przez szpary w okiennicach przeglądało palące się wewnątrz żółte, dymne światło, stukały tak jak i w cukierni bilardowe kule, szkło brzęczało i taki straszny, gruby, usilnie jakby tłumiony panował hałas, że dziewczynka z przestrachem i z całych sił nóg swoich — uciekła. W hałasie, który szumiał za zamkniętemi okiennicami rozpoznawała znany jej dobrze od lat najmłodszych głos Franka i domyśliła się, że był to ów dom przy ulicy Niskiej, do którego Władek, jak sam jej o tem opowiadał, chodził czasem pohulać sobie, piwka napić się i w bilard szczęścia spróbować...

Kiedy z nocnych wycieczek tych Marcysia wracała do domu, znajdowała drzwi chaty już zamknięte i okna jej ciemne. Jeżeli zimno było bardzo ostre, stawała pod oknem, pukała ostrożnie w szybę i pokornym głosem błagała Wierzbowę, aby wpuściła ją do chaty. W odpowiedź, odzewało się wewnątrz gniewne mruczenie i klapanie po podłodze przydeptanych trzewików. Drzwi uchylały się a na plecy wsuwającej się przez nie Marcysi spadało kilka uderzeń pięści silnej jeszcze choć starej, wraz z gradem łających wyrazów, półgłosem wymawianych. Wymawianemi one były półgłosem dla tego, że w noce podobne, następujące po szumnych, długich, wieczornych biesiadach, izba nie bywała nigdy wypróżnioną całkiem z bawiących się tam przed godziną gości. Dziewczynka, w ciemnościach wyśliznąwszy się z pod karzącej ją ręki, przypadała w kąciku jakim do nagiej podłogi i usypiała tuż obok ludzkiej twarzy jakiejś rozpalonej i w ciężkim oddechu ziejącej zapachem wódki, wśród chrapań i szamotań się odzewających się na ławach, pod piecem i stołem.

To też, jeśli na dworze mróz nie palił zbyt ostro i wicher nie sypał tumanami śniegu, nie pukała do okna chaty i nie prosiła o pozwolenie wejścia, ale owinąwszy się jak najszczelniej dziurawą chusciną swą, siadała jak najbliżej ściany i na mokrym śniegu, z głową opartą o mokre drzewo, usypiała. Zmęczoną była i przywykłą od niemowlęctwa prawie do noclegów podobnych, spała więc mocno. Nadedniem tylko, budzić ją zaczynało wzmagające się zimno. Kurczyła wtedy nogi chowając je pod płócienną spodniczkę, stękała przez sen, lub otwierając nawpół zaczerwienione od zimna powieki i mrużącą się źrenicą patrząc w błękitne świtanie dnia, sennym, przerywanym, skarżącym się głosem szeptać zaczynała:

— Matusiu! Matusiu! spojrzcie na mnie z płaczem,
Nie mam ja mojej główki położyć na czem!...

Zdaje się, że wtedy przypominała sobie matkę i że z błękitnym świtem miękko spływającym na białe śniegi, spływało z nią tęskne jakieś, pieszczotliwe, łzawe marzenie.

Kiedy miała lat czternaście, zaprzestała całkiem nocnych wycieczek na miasto, zaczęła już snać doświadczać uczucia wstydu i więcej niż kiedy lękać się tak policyantów, jak przechodniów miejskich, którzy kilka razy zaczepiali ją grubemi gestami i żartami. Władka też widywała coraz rzadziej. Przychodził jeszcze do niej niekiedy ale roztargniony był, chmurny, milczący. Zauważyła, że wzrok jego stawał

się coraz posępniejszy, śmiech coraz ostrzejszy i hałaśliwszy.

Raz, zapytała go:

— Czy stryj ciebie bije!

— Ej nie! — odpowiedział — krzyczy często i łaje, ale dawno już nie bił.

— Czy tobie jeść nie dają?

— Aj, aj! jedzenia u nas po uszy!

— To czegoż ty... taki jakiś...

Nie umiała wytłómaczyć wrażenia, które czyniła na niej twarz jego niespokojna, wciąż jakby gniewna i zniecierpliwiona.

— Jakaś ty głupia, moja Marcysiu, — odrzekł — tobie się zdaje, że jak człowieka nie biją i jeść mu dają, to on już szczęśliwy i niczego mu nie brakuje. Człowiek, moja kochana, ma inne jeszcze potrzeby i żądania, których ty rozumieć nie możesz... ale ja... to co innego! Mnie wszystkie złości biorą jak sobie pomyślę że tak mię ludzie haniebnie zaniedbali. Ani nauki, ani wychowania, ani majątku! Co ja będę przez całe życie robił? Stryjowi do śmierci służyć nie myślę i nawet rzucę go prędko, bo niczego się tam u niego nie dochrapię. A potem co? W świat mi iść chyba gdzie oczy poniosą i szczęścia lepszego sobie szukać!

Miał lat siedmnaście i mówił jezykiem dorosłego już człowieka. Marcysia rozumiała go tylko przez pół.

Rozmowy takie trwały zazwyczaj krótko i z upływem czasu zdarzały się coraz rzadziej. Przyszły nakoniec długie miesiące, w czasie których Marcysia nie widziała Władka ani razu i nawet nie wiedziała ani gdzie on był, ani co się z nim działo.

Teraz, miała już lat piętnaście, nie dzbanem już z krynicy, ale wiadrami z rzeki nosiła wodę bogatszym mieszkańcom przedmieścia. Codziennie przed wschodem słońca, można było widzieć wychodzącą z chaty u ściany jaru wiszącej dziewczynę wysmukłą i kształtną, z dwoma wiadrami na ramieniu, zatrzymującą się u szczytu ścieżki. Chuda była i blada, lecz kształtna i ładna. Ubranie jej, z wyjątkiem płytkiego obuwia okrywającego stopy, nie różniło się prawie z tem które, nosiła w dzieciństwie. Miewała na sobie zawsze sine, grube spodnice i szarą koszulę, przykrytą niekiedy czerwonawą chustką skrzyżowaną na piersi. Na głowie, która zwykle z nad ciężkich prząseł wychylala się trochę naprzód, nie miewała nigdy nic oprócz włosów ognisto złotych gładkiemi pasmami otaczających niskie jej czoło, a z tyłu głowy skręconych w gruby warkocz. U szczytu ścieżki, stawała zwykle chwilę z wiadrami swemi na ramieniu i wzrokiem wodziła po rozwidniających się domostwach miejskich i rozsrebrzającej się wstędze rzeki. Z upływem czasu czarne oczy jej stawały się coraz więcej zamyślone i głębokie, na dnie ich rozpalały się ognie natury namiętnej a wpółdzikiej. Codziennie, różowy gołąb zlatywał z dachu chaty i unosił się nad jej głową, lub siadał na jej ramieniu. Wtedy przestawała patrzeć na miasto i rzekę, zwracając wzrok na ptaka, uśmiechała się i usta jej przybierały zarys nieskończonej słodyczy.

Mieszkańcy przedmieścia którym nosiła wodę i do których chodziła aby pleć ogrody lub dopomagać w praniu bielizny, tak przywykli widzieć ją z tym gołębiem unoszącym się nad głową jej lub lecącym za nią, że gdy wypadkiem zobaczyli ją bez niego, zapytywali:

— A gdzież twój Lubuś?

Ktoś kiedyś, wskazując gołębia powiedział śmiejąc się:

— To jej kochanek!

Obecni żartować zaczęli.

— Będzie ona wnet miała kochanków innych! — mówili — taka ładna dziewczyna!

Zczerwieniła się jak wiśnia i wlepiła wzrok w ziemię. Ale dnia tego, przyszedłszy do domu na obiad, zerwała w ogródku gałęź dzikiego powoju i owinęła ją sobie w koło warkocza. Potem, przez całą godzinę, którą miała przepędzić w chacie, siedziała u szczytu ścieżki i patrzała ku mostowi na rzece i przedmieściu. Czekała znać i wyglądała Władka, który tą drogą przychodzić musiał. Zamiast Władka, zjawił się przecież z innej strony, młody syn bogatego ogrodnika, który ją dnia tego widział z rana, wlepiał w nią oczy gdy rumieniła się i ze szczególną łaskawością bawił się długo z jej gołębiem.

— Panno Marcyanno!—zawołał z dala— dobry wieczór, pannie Marcyannie!

Spojrzała w stronę nadchodzącego przestraszonemi oczami, zerwała się z ziemi, wpadła do chaty i drzwi za sobą na rygiel zamknęła. Młody i zgrabny chłopiec kołatał do drzwi tych długo, potem odszedł, ale tego samego wieczoru wrócił i stanąwszy za otwartem oknem zawołał:

— Moja pani Wierzbowo! potrzebujemy na jutro dziewcząt do wykopywania warzywa. Czy panna Marcyanna nie będzie mogła przyjść?

— Przyjdzie! przyjdzie! czemu nie? — odpowiedziała z wewnątrz chaty stara i dodała — a czemu to pan Antoni nie łaskaw i do chaty nie zajdzie?

Chłopak jednym skokiem znalazł się w izbie i rozejrzał się po niej z uczuciem zawodu. Marcysi w izbie nie było. O zmroku, gdy dzienne roboty jej były skończone i Wierzbowa układać się miała do snu, szła ona zwykle w głąb jaru gdzie siedząc pod wierzbami i kołysząc zwolna wiotką swą postać, patrzała w ciemną nieruchomą wodę i z cicha nuciła:

Cichą wodą, oj wodą, płynie rutka zielona,
W nocce czarnej, oj czarnej, dola moja zgubiona.
Dolo moja, oj dolo, gdzieś się ty podziała?
Czyś się w wodzie utopiła, czy w ogniu zgorzała?

(C. d n.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIENSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSCHBERGA.

(*Ciąg dalszy.*)

W gorączkowem pragnieniu pozyskania sobie wdzięczności króla Jana, tak prymas jak wojewoda nie obliczyli się należycie z ówczesną sytuacyą w Polsce. Spodziewali się zapewne, że Zygmunt, sprzyjając Zapolyi bardziej niż Habsburgom, nie zechce zbyt ściśle przestrzegać swej neutralności, liczyli na wpływy partyi antyaustryackiej na dworze polskim i pomoc królewnej Jadwigi, siostrzenicy króla węgierskiego. Ale wszystkie te nadzieje zawiodły niestety zupełnie.

Z końcem Kwietnia tegoż r. wyjechał Zygmunt na Litwę, a najwyższą władzę w Koronie objęli na czas jego nieobecności kanclerz Szydłowiecki i biskup Tomicki. Obydwaj znani nam są jako zawzięci nieprzyjaciele rodziny Łaskich, a nadto szczerze oddani domowi rakuskiemu; pierwszy za złoto, hojnie płynące dlań z cesarskiego skarbu, drugi zaś z niechęci do Zapolyi [1]) lub może z przekonania gorliwie popierał politykę dworu wiedeńskiego. Jeżeli już wybór ten fatalnym był dla arcybiskupa, niebawem inna okoliczność jeszcze bardziej powiększyła trudność jego położenia. Z początkiem Lipca tegoż roku (1529) przybył do Krakowa znany dyplomata austryacki Zygmunt Herberstein, który nader usilne czynił zabiegi aby Polskę zupełnie pozyskać dla polityki dworu austryackiego [2]).

Wypadki te nader niepomyślnie wpłynęły na dalszy rozwój planów Hieronima. Podczas gdy poseł Ferdynanda prowadził owe rokowania w Krakowie, doszła tu wiadomość o wkroczeniu do Wielkopolski wojsk zaciężnych zebranych przez wojewodę. Na żądanie Herbersteina i niewątpliwie pod jego wpływem, ale zapewne także z głębokiej niechęci do Łaskich, wydali Szydłowiecki i Tomicki polecenie, aby wstrzymano dalszy pochód owych hufców zbrojnych i natychmiast wydalono je z kraju [3]). „Tedy starostowie Królestwa polskiego“ — powiada pomieniona legacya Zapolyi—„i insi urzędnicy na wiele miejsc nie dopuścili im przejścia, a tak z nich niektórzy musieli się wrócić, a niektóre pojmali, a dlatego drngie rycerstwo słysząc to nazad się wrócili“.

W taki to sposób zabiegi posła austryackiego i niechęć stojących wówczas u steru przeciwników arcybiskupa nie dozwoliły mu dokonać owego dzieła, które jeszcze bardziej miało zjednać Hieronimowi wdzięczność króla Jana i dalszą utorować mu drogę do władzy i zaszczytów. Wszelkie w tym celu poniesione trudy i koszta zupełnie były bezużyteczne. Ale nie na tem kończyła się doniosłość tej klęski. Za staraniem dworu wiedeńskiego niebawem doszła do Rzymu wiadomość o udziale arcybiskupa w ostatnich działaniach wojewody. Stronnicy i ajenci austryaccy szczegółowo opowiadali o pomocy, udzielonej mu przez prymasa, nazywając go sprzymierzeńcem Zapolyi i sułtana tureckiego!

Zarzut ten niestety aż nadto był usprawiedliwiony. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że Łascy wspierając króla Jana, związanego traktatem przymierza z Solimanem, pośrednio oddawali się w usługi owej potędze tureckiej, przed którą drżała wówczas cała wschodnia i środkowa Europa. Co więcej, nie podobna nawet przypuścić, żeby arcybiskup nie zdawał sobie sprawy z całego ogromu winy, jaką popełniał, udzielając swej pomocy Hieronimowi, aby nie miał oceniać należycie, jak dalece sprzeniewierzał się przez to swojemu stanowisku jednego z pierwszych w chrześciaństwie książąt kościoła. Jakież były owe pobudki, silniejsze od głosu sumienia i obowiązków prymasa polskiego? Jakiegoż rodzaju względy i czynniki popchnęły go aż do sprze-

[1]) O powodach tej niechęci zob. X. Liskego, Studya z dziejów wieku XVI. str. 24.

[2]) Herberstein, Selbstbiographie p. r. 1529 (Fontes Rer. Austr. Scriptores. T. I. str. 289), Fr. Adelung, S. v. Herberstein etc. str. 223.

[3]) Acta Tomic. Kod. Sap. T. VII. k. 461b—462a.

*

dazy dóbr kościelnych, dla popierania sprzymierzeńca sułtańskiego?

Powody, o których powyżej wspominaliśmy nie zdołają nam jeszcze wytłómaczyć postępowania prymasa, w obec ogromnej doniosłości tych faktów i całej grozy ich następstw, prawie nieuniknionych. Chcąc zrozumieć zagadkę psychologiczną, jaką niewątpliwie jest ówczesne zachowanie się arcybiskupa, musimy rozważyć wszystkie działające tu czynniki i dokładnie ocenić ich znaczenie: tylko po takiem wszechstronnem rozpatrzeniu się możemy zdać sobie sprawę z owego procesu psychologicznego, jaki wówczas odbywać się musiał w jego umyśle.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że jedną z najważniejszych przyczyn, mogących wytłómaczyć udział prymasa w awanturniczych planach Hieronima, były panujące wówczas idee wieku. Było to u schyłku trzeciego dziesiątka XVIgo stulecia: duch reformacyi i prądy nowoczesne, jak na wszystkich innych polach, tak i w zakresie działań politycznych objawiały się z całą potęgą, właściwą tylko nowym, świeżym kierunkom. Jeżeli w wiekach średnich niekiedy przynajmniej działały w sprawach politycznych względy na dobro całego chrześciaństwa lub w ogóle pobudki szlachetniejsze, to wówczas musiały one zupełnie ustąpić przed interesem państwa, dynastyi lub ambitnych dążeń osobistych. Najpierwsi z ówczesnych monarchów europejskich trzymali się polityki, będącej tylko i wyłącznie wyrazem ich interesu. „Arcychrześciańscy“ królowie Francyi łączyli się z tak groźną wówczas potęgą turecką przeciw domowi rakuskiemu, a dwór wiedeński nie wahał się podburzać schizmatyckich książąt moskiewskich przeciw katolickiej Polsce, będącej przedmurzem zachodniej cywilizacyi. Związki w ten sposób zawierane musiały z czasem wytworzyć w umysłach przekonanie, że wobec celów politycznych nikną wszystkie obowiązki sumienia, wszelkie względy na dobro chrześciaństwa, sprawy wyższe i szlachetniejsze. Czy nie działał arcybiskup pod wpływem tego rodzaju wyobrażeń, zwłaszcza zachęcony przykładem Francyi, już wówczas mającym dla nas tyle znaczenia i uroku?

Jakkolwiek nie możemy odpowiedzieć na to pytanie przecząco, to jednak nie zdaje nam się, żeby wyobrażenia te mogły być w tym wypadku czynnikiem pierwszorzędnym. Arcybiskup urodzony w roku 1456 i wychowany w Polsce, która wówczas jeszcze w całej czystości przechowywała ducha prawdziwie chrześciańskiego, nie był co do swych zasad i opinij reprezentantem XVI wieku. Młodości swej nie przepędził wśród nowoczesnych pojęć religijnych, które wyziębiając wiarę formułkami dogmatycznemi, w miejscu miłości chrześciańskiej fanatyczną szerzyły nienawiść do innowierców, lecz przeciwnie wychowywał się pod wpływem dawnego ducha chrześcianizmu, którego wyrazem była predewszystkiem etyka chrześciańska. Taki kierunek umysłów ówczesnej starszej generacyi w Polsce, objawiał się szczególniej w gorącem przejmowaniu się obowiązkiem obrony chrześciaństwa przeciw coraz groźniejszej potędze niewiernych, jako też szczerem zainteresowaniem się losami całego świata chrześciańskiego[1]). Tak więc pokolenie, do którego prymas należał, dalekiem było od owej niczem nieskrępowanej swobody w wyborze środków politycznych, jaką widzieliśmy np. w Hieronimie, wychowanym we Francyi, a będącym i pod tym względem nieodrodnym synem swojego wieku. Z tego to powodu nie sądzimy, żeby nowoczesne teorye, wykluczające prawa moralne i obowiązki sumienia z zakresu działań politycznych, miały być jedną z głównych przyczyn, jakie mogłyby wytłómaczyć postępowanie arcybiskupa. Tem mniej skłonni jesteśmy do tego rodzaju przypuszczeń, że całe jego życie poprzednie najwymowniej świadczy o głębokiej religijności i szczerem przywiązaniu do instytucyj kościoła[1]). Bez wątpienia zupełnie bez wpływu nie pozostały one i na umysł prymasa, zwłaszcza mając tak zręcznego rzecznika w osobie ukochanego przezeń synowca, ale żadną miarą nie możemy im przyznać większego znaczenia, postawić w szeregu czynników pierwszorzędnych.

Jak już powyżej niejednokrotnie wspominaliśmy, główną pobudką we wszystkich niemal działaniach prymasa była jego ambicya i niczem niepomiarkowana żądza wyniesienia swojego rodu. Od chwili, kiedy arcybiskup doszedł do kresu swych dążeń osobistych, zająwszy w senacie pierwsze miejsce po królu, stale zmierzały wszelkie jego zabiegi do zapewnienia rodzinie swej stanowiska, na jakiem wówczas widzimy Łaskich, dzięki niepospolitym zdolnościom i wysokiemu dostojeństwu prymasa. Odtąd cel ten do końca życia był dlań myślą przewodnią, a plany jego nawet w daleką sięgały przyszłość: dwaj starsi z jego synowców mieli dalej prowadzić dzieło rozpoczęte przez arcybiskupa. Staranne wychowanie obok protekcyi stryja miało im torować drogę do władzy i zaszczytów. Pod tym względem żadnych nie szczędził on ofiar i z podziwienia godną wytrwałością pracował przez długie lata, aby jak najwięcej przysporzyć im mienia i dochodów i wpływem swym jak najszybciej wyjednać nadanie wyższych godności.

Usiłowania te, częstokroć pomyślnym uwieńczane skutkiem, coraz większą niechęć wywoływały u przeciwników; zawiść i zawiedzione nadzieje coraz bardziej powiększały ich szeregi. Im więcej bowiem planów uzyskania jakiego urzędu lub wakującego beneficyum musiał prymas zniweczyć działaniem na korzyść swoich synowców, tem bardziej rozszerzało się koło jego nieprzyjaciół. Zastęp ich wzrósł w końcu do liczby bardzo poważnej, na czele zaś widzimy najznakomitszych dostojników Rzeczypospolitej i osobistości najbardziej wpływowe. Wówczas postanowiono wystąpić otwarcie i upokorzyć Łaskich: sprawa o starostwo malborskie miała być dostatecznym do tego pozorem.

Zabiegi ich nie odniosły wprawdzie skutku zamierzonego, przekonały jednak Hieronima, że w Polsce nie znajdą powodzenia jego ambitne plany. Intrygi nieprzyjaciół jego rodziny były więc jednym z tych powodów, które go rzuciły na awanturniczą drogę szukania sławy i dostojeństw w usługach Zapolyi[1]). Arcybiskup i wówczas nader żywy brał udział w wykonaniu śmiałych zamysłów swojego synowca, a oddawał się im tem namiętniej, że zaciekłość przeciwników w najwyższym stopniu podrażniła jego dumę, pobudzając do tem bardziej stanowczego działania. W takiem usposobieniu wstępuje on na nowe tory, na których posuwając się coraz dalej, w końcu dochodzi do użycia środków, najzupełniej sprzecznych z swem dostojeństwem kościelnem. Tak więc ambicya i duma rodowa, a zarazem roznamiętnienie wywołane długoletnią walką z nieprzyjaciółmi — oto najważniejsze czynniki w ówczesnem postępowaniu prymasa.

Obok tych pobudek wewnętrznych, które głównie popchnęły arcybiskupa do czynów, tak niezgodnych z jego stanowiskiem w hierarchii duchownej, niewątpliwie nie pozostały w tym wypadku bez wpływu także ówczesne stosunki europejskie. Właśnie wówczas bowiem toczyła się walka pomiędzy t. zw. Ligą świętą a Karolem V; sam papież wziął udział w tym związku nieprzyjaciół domu rakuskiego, którego celem było oswobodzenie Włoch z pod przewagi cesarza. Wprawdzie po zdobyciu Rzymu przez wojska hiszpańskie musiał się przed nim upokorzyć Klemens VII i przynajmniej pozorną zachowywać neutralność, jednak sympatye jego i nadal pozostały po stronie przeciwników domu austryackiego, a w Węgrzech jakkolwiek nieśmiało, popierała kurya rzymska Zapolyę przeciw Ferdynandowi. Nawet w r. 1528, kiedy już po całej Europie rozeszła się wiadomość o przymierzu króla Jana z Solimanem, i wówczas jeszcze nie opuścił papież Zapolyi i usiłował nakłonić Franciszka I do udzielenia mu pomocy[2]).

(C. d. n.)

[1]) O prawdziwości powyższego twierdzenia świadczy najlepiej historya tak często ponawianych wówczas układów o podjęcie wspólnej wyprawy krzyżowej przeciw Turkom i usiłowań, czynionych w tym celu przez Zygmunta I. Szczere popieranie tej sprawy ze strony dworu polskiego dziwnie odbija od usposobienia pod tym względem innych uczestników owych rokowań i robi wrażenie anachronizmu wśród moralnej atmosfery XVI wieku. I rzeczywiście, na Zachodzie i w środkowej Europie było to już anachronizmem, co jeszcze utrzymywało się w ówczesnej starszej generacyi w Polsce.

[1]) Ważnym przyczynkiem do poznania działalności arcybiskupa na tem polu jest praca Ks. Dra Łukowskiego p. t. „Liber beneficiorum Jana arcybiskupa Łaskiego“. (Roczniki Tow. przyjaciół nauk pozn. T. X).

[1]) Współczesny tym wypadkom Filip Padniewski powiada nawet w dziełku powyżej wymienionem, że przeszkody, jakie Hieronimowi stawiali przeciwnicy Łaskich na drodze do wyższych godności, były głównym powodem jego wyjazdu do Węgier i oddania swych usług Zapolyi (Rps. Bibl. Ossol. 77. str. 51. — Ustęp ten podaje także Paprocki w Herb. ryc. pols.)

[2]) Dnia 28. Października 1528 r. zawarto ostateczny traktat przymierza między Zapolyą a Franciszkiem I. do czego papież nader usilnie nakłaniał króla francuskiego.

O ZASYPIANIU I BUDZENIU SIĘ

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

(Ciąg dalszy.)

4) *Brak zdolności asymilacyjnej w mózgu.* — Łatwo się domyślić że i dostateczna ilość krwi w ogóle, i dopływ jej do mózgu, i dostateczna ilość tlenu w tej krwi, nie wystarczą do przeszkodzenia zasypianiu, jeżeli sama tkanka nerwowa mózgu *jest chwilowo niezdolną do przyswojenia sobie pierwiastków odżywczych, które jej krew przynosi.* Taki zaś przypadek zachodzi podczas działania niektórych środków znieczulających a mianowicie chloroformu i eteru. Materye te użyte w dozie odpowiedniej nie psują krwi w ścisłem znaczeniu tego wyrazu i dostanie się ich do krwi bynajmniej jeszcze zasypiania nie sprowadza, lecz gdy ta krew przeniesie je do mózgu, wówczas natychmiast następuje działanie na tkankę nerwową, działanie *paraliżujące*, które tkankę pozbawia zdolności asymilowania czyli przyswajania innych pierwiastków przez krew przynoszonych. I w skutek tego mózg nie mogąc się odżywiać

normalnie, zasypia. Że zaś tu istotnie tylko zdolność przyswajania jest zawieszoną, dowodzi tego fakt następujący, odkryty przez Klaudyusza Bernarda: jeżeli zwierzęciu uśpionemu eterem wstrzyknąć pod skórę znaczną ilość kwasu pruskiego, to mimo to zwierzę żadnych objawów zatrucia nie okaże: trucizna wcale na nie nie działa, gdyż wcale nie jest asymilowaną przez tkankę nerwową. Lecz jeśli działanie usypiające eteru skończy się, wówczas zwierzę, do tej pory śpiące tylko, okaże się zatrutem. Trucizna działa na tkankę i paraliżuje ją na zawsze, gdy sparaliżowanie czasowe ustało.

Niezwykłą zaś siłę usypiającą tych czynników objaśnia nam zasadnicza własność systemu nerwowego, która sprawia, że sparaliżowanie przez środek znieczulający przenosi się trudno w kierunku dośrodkowym, lecz bardzo łatwo w kierunku odśrodkowym. To znaczy, że możemy sparaliżować nerwy końcowe ręki lub nogi, znieczulić je, a jednak przez te wyższe, centralne części systemu nerwowego, mianowicie sam mózg pozostanie nietkniętym. Mamy wówczas znieczulenie miejscowe, ale nie mamy *snu*. Tymczasem jeśli zamiast działać od strony zewnętrznej zaczniemy działać od wewnątrz, od centrum, a więc wprost na mózg, jak to właśnie czyni chloroform, wówczas sparaliżowanie mózgu bynajmniej nie pozostanie umiejscowionem, lecz przeniesie się na mlecz pacierzowy i na wszystkie nerwy końcowe. Odbierając więc mózgowi zdolność przyswajania, odbieramy ją tem samem całemu sytemowi mózgordzeniowemu i dla tego to chloroform usypia tak silnie.

Nie myśl łaskawy czytelniku, żem już wyczerpał wszelkie kombinacye fizyologicznych warunków zasypiania. Mamy tu do czynienia z objawem tak zawiłym, że niełatwo rozplątać wszystkie jego składniki. Poziom naszego życia umysłowego obniża się w zasypianiu pod naciskiem bardzo rozmaitych sprężyn i sprężynek. Jedne z nich są większe, drugie mniejsze, jedne działają silnie, drugie słabo, jedne stale, drugi wyjątkowo tylko, a przytem wszystkie mogą działać jednocześnie, tylko w stopniu różnym, i wtedy musimy dochodzić, która z nich odgrywa rolę główną a które poboczną. A cóż łatwiejszego jak prześlepić jednę z tych sprężynek, jedno ziarnko, które spadając na szalę, zdecydowało jej pochylenie! Tak np. zdawałoby się że gdy żaden z wyliczonych dotychczas warunków zasypiania nie ma miejsca, to tem samem i zasypianie przejawić się nie powinno. Tak jednak nie jest. Ilość krwi może być dostateczną, ilość tlenu w niej także, tkanka gotowa odżywiać się normalnie—a jednak odżywiania normalnego nie ma i następuje zaśnięcie — tlen jako pokarm tkanki nerwowej i mięśniowej — jest; zdolność odżywiania trwa; a jednak odżywianie nie następuje, *ponieważ kto inny tlen zabiera*. Tym „kim innym“ nie jest już jednak ciało obce z zewnątrz przychodzące, jak w przykładzie z tlenkiem węgla, lecz materye w samym organizmie znajdujące się i w nim powstające. Są to tak nazwane przez Preyera: *substancye zmęczenia*, (ponogeniczne). A zatem piątym warunkiem zasypiania jest:

5) *Obecność w tkankach substancyj zmęczenia.* Objaśnię to zaraz bliżej. Wspomniałem już, że każdy organ pracując zużywa swoją tkankę. Co to znaczy? — To znaczy że *traci* pewną ilość swoich składników. Cóż się z niemi dzieje? — Zostają wydalone na zewnątrz, ale wydalenie takie jest także pracą wymagającą pewnych warunków; podejmuje ją przedewszystkiem krew, powracająca od organów odżywianych; a krew zabierać może tylko to co jest w niej łatwo rozpuszczalne; i tak np. z gazem bezwodnika węglowego nie ma kłopotu—pochłania go i unosi, a potem przez płuca wyrzuca na zewnątrz; ale inaczej rzecz się ma z innemi produktami pracy, które w ogóle są trudno rozpuszczalne; te muszą być pierwej powtórnie utlenione czyli powtórnie rozłożone przez spalenie. A zkąd mają brać tlenu potrzebnego na spalenie? Oczywiście tylko ze krwi, co im tem łatwiej przychodzi, że ich powinowactwo chemiczne do tlenu jest większe aniżeli samej białkowatej zawartości tkanek. I oto dzieje się krzywda organiczna tego rodzaju, że co się miało dostać tkance pracującej, dostaje się próżniakom *ponogenicznym*. Powiedziałem, że dzieje się krzywda organizmowi, ale ta krzywda jest koniecznością, koniecznością która ostatecznie staje się dobroczyną, ponieważ sprowadza wydalenie darmozjadów. Zanim jednak to nastąpi, tkanki nie mogąc się dostatecznie odżywiać, *zasypiają*. *Zasypianie to jest w stosunku prostym do ilości substancyi ponogenicznych* takich, jak *kreatyna* w mięśniach i *kwas mlekowy* w mięśniach i w nerwach. Im bowiem więcej nagromadzi się tych produktów, tem trudniej krwi zabrać je i wydalić, tem więcej zabierają tlenu krwi, tem mniej się tkanka pracująca odżywia, tem mocniej *zasypia*.

Gromadzenie się Preyerowskich „substacyj zmęczenia“, (które nawiasem mówiąc właściwiej byłoby nazwać *produktami pracy*), zanim doprowadzi do uśpienia, wywołuje *zmęczenie*. Że tak jest, możemy sprawdzić doświadczalnie. Choćbyśmy nie byli spracowani, doznamy zupełnego uczucia znużenia i senności, zażywszy odpowiednią dozę kwasu mlekowego albo mlekanu sody, tym sposobem doświadczenie stwierdza teoryą i podobnie jak tlen nazwaliśmy *pierwiastkiem budzącym*, tak kwas mlekowy musimy nazwać *kwasem usypiającym*. Ale nie na tem koniec.

Produkta zmęczenia nie są jeszcze, ściśle rzecz biorąc, dostateczną snu przyczyną. Czuwanie nie zdołałoby wykraść tkankom całej ilości przeznaczonego dla nich tlenu, gdyby miały dość silne bodźce do wytrzymania współzawodnictwa. I w samej rzeczy — walka taka nieraz toczy się zwycięzko. Żołnierz w bitwie, tancerka w tańcu, uczony nad wynalazkiem, poeta przy poemacie, kochanek przy kochance, nietylko nie czują na razie zmęczenia, ale mogą kilka nocy przesiedzieć lub przepracować na swój sposób nie objawiając senności; dopiero po upływie pewnego czasu, bodźce stają się bezskutecznemi, tkanka mięśniowa i nerwowa odmawia posłuszeństwa, produkta zmęczenia przesycają je i ubezwładniają, a wtedy człowiek, jak tego bywały przykłady, usypia nawet na torturach. Ale bo też bezsenność bywa niekiedy torturą srozszą niż wszystkie inne; podobno nawet Chińczycy stosują ją w swojem prawie karnem. Bezsenność, ta zwłaszcza, którą wewnętrzne bodźce uczuciowe, zawodów moralnych lub wyrzutów sumienia powodują, może do rozpaczy i obłędu doprowadzić. Wiedział o tem Szekspir, wielki psycholog przerażając Makbeta temi słowy: „Nie będziesz już spał Makbecie, zabiłeś sen, niewinny sen, który z przędzy naszych cierpień, zwija kłębek jednostajnego jedwabiu, sen, tę słodką śmierć każdodziennego życia, tę kąpiel po ciężkiej pracy, ten balsam dusz zranionych, drugie danie przy stole wielkiej przyrody, najpożywniejszą potrawę w życiowej uczcie!“

Bądź co bądź, czuwanie przedłużać się może, mimo nadmiernej ilości produktów zmęczenia, jeżeli tylko bodźce bardzo silne, czy to zewnętrznej czy wewnętrznej natury gwałtem zmuszają organa do funkcyonowania. Zatem do warunków sen wywołujących, przybywa nam jeszcze:

6) *Brak bodźców do czynności organów.* Ten brak bodźców występuje, już to w zupełnej bezczynności, w słodkiem *far niente*, które *lazzaronów* wylegających się na słońcu po zjedzeniu porcyi *maccaroni*, tak łatwo do snu doprowadza — już też w czynności obojętnej, wymuszonej, *nudnej*. Nudny odczyt, nudna rozmowa, nudna książka usypiają, to rzecz wiadoma, a w naszej klasie tak zwanej oświeconej nie brak nawet osób, dla których każda książka jest *substancyą ponogeniczną*. Nie trzeba więc i o tym warunku zapominać.

Wrażenia monotonne usypiają. Jednostajny ton głosu czytającego, łagodne *Reverie* grane na fortepianie, szelest liści, szmer deszczu, szum kaskady, turkot młynu nawet, usypia, gdy jest jednostajnym. Młynarz zasypia gdy młyn idzie równo, budzi się gdy ustaje. W niedawno wydanej broszurze „O wrażeniu ciszy“ Schneider opowiada, że pewien jegomość mieszkający na jednej z najludniejszych ulic Neapolu przy stacyi dorożek, zwykł był usypiać spokojnie mimo bezustannych wrzasków dorożkarzy, którzy włoskim obyczajem rozprawiali i kłócili się ze sobą nie żałując płuc i krtani. Gdy przypadkiem (co się rzadko trafiało) na raz rozjechały się wszystkie dorożki i ulica umilkła, śpiący zrywał się, otwierał okienko i pytał: co się stało?

Dziecię usypia od jednostajnych kołysań kolebki i monotonnego śpiewu niańki; starzec od trudnego dlań skupiania uwagi na jeden przedmiot. Katarzyna wielka usypiała podobno najlepiej gdy ją łagodnie w pięty łaskotano, żołnierz zasypia w jednostajnym marszu na koniu lub pieszo nawet, niemowlę przy dłuższem ssaniu, staruszka przy robieniu pończochy, przy słuchaniu kazania, a znałem nawet profesora, który tem się szczególnie od innych odznaczał, że przy własnym wykładzie zasypiał.

Jeżeli nietylko jeden zmysł, lecz kilka, monotonne wrażenia odbiera, a organizm przytem zachowuje się biernie, w jednym tylko kierunku skupiając martwo uwagę, wówczas sen przychodzi jeszcze łatwiej, a u osób nerwowych przybiera nawet ciekawą formę tak zwanego *hipnotyzmu*. Wpatrując się w jeden punkt nieco nad oczami leżący fakirowie indyjscy wprowadzają się w sztuczne uśpienie połowiczne z pewnem zachowaniem władz umysłowych. Sposób ten może nawet wywołać dość silne znieczulenie na bodźce, nie mające związku z treścią marzenia sennego. Hipnotyzowany, podobnie jak lunatyk odbiera tylko te wrażenia, o których myśli, ale różni się od niego tem, że gdy ten ostatni zachowuje władzę działania samodzielnego, hipnotyzowany traci ją zupełnie. Natomiast rozmowa z nim jest możebną, podczas gdy lunatyk zwykle wcale nie odpowiada na pytania. Lunatyk robi to, co mu każe własne marzenie, hipnotyzowany to, co mu każe ktokolwiek, a nareszcie magnetyzowany, tylko to co mu każe „magnetyzer“. Obcych bowiem wyrazów nie słyszy. Lunatyk istnieje tylko dla siebie, hipnotyzowany dla wszystkich, magnetyzowany tylko dla tego, kto go uśpił.

(C. d. n.)

PROMIENISTY.

NOWELLA

przez

ZOFIĘ R.

On miał rok dwudziesty i był celującym uczniem w liceum Krzemienieckiem, ona w siedmnastym roku gasiła krasą wszystkie dziewice polskie. Matki ich były cioteczne siostry, więc młodzi rośli razem i kochali się od dziecka.

Dziesięcioletni Mundzio, był już opiekunem, obrońcą, doradcą i pocieszycielem siedmioletnej Lili. Na spacerach po górach i lasach przyległych, prowadził ją za rączkę, kamyki usuwał z przed drobnych nóżek, przenosił przez rowy i płotki; w sprzeczkach i nieporozumieniach z rodzeństwem, stawał po jej stronie, karcił tych, którzy śmieli jej przykrość wyrządzić, i gotów był zawsze rozswywolonemu lub dokuczliwemu napastnikowi własną pierś nadstawić, byle ochronić małą swoją przyjaciółkę. Doradzał jej zabawy, zajęcia, wskazywał najłatwiejszy sposób wyuczania się lekcyi, a często i sam był jej nauczycielem. Pocieszał po złamaniu zabawki, lub stłuczeniu lalki, naprawiał, kleił i nie raz godzinami, pomimo żywości usposobienia, siadywał z nią razem wśród lalek pozbawionych rąk albo nóg, wózków, kołysek, garnuszków drewnianych, i tym podobnych skarbów siedmioletnich dziewczynek. Stosunek ten wypłynął zupełnie naturalnie, Zygmunt nad wiek był wyrośnięty, silnie zbudowany. Leonia, delikatna, wątła, o jasnych włoskach, bardzo rozpieszczona, a trochę kapryśna dziecina, lgnęła do niego, jako do siły mogącej ją wesprzeć; on, prawem natury mocnej a szlachetnej, stawał u boku słabiuchnego a nad wyraz miłego dziewczątka. I ztąd obopólna sympatya, ztąd miłość! Trzynasto-czternasto letnie dziewczę urocze jak rusałka, nie przystało nigdy na kupienie sukienki, na dobranie wstążeczki do włosów, póki Mundzio nie zobaczył, nie pochwalił wyboru; a jeżeli zamierzony sprawunek jemu nie przypadł do gustu, to Lili póty na przemian prosiła i kaprysiła, aż w końcu zmusiła matkę do zastosowania się w wyborze do smaku studenta, zapiętego w mundurek szkolny. Jeżeli ona była mu tak powolną, taką miała w nim ślepą i bezwarunkową ufność, to on przywiązaniem do niej, myślą zajętą tylko nią, zasługiwał na to.

Lili mieszkała ze swymi rodzicami w ślicznej wiosce, otoczonej wiankiem drzew zielonych, położonej nad brzegiem Styru, a oddalonej o mil trzy od Krzemieńca. Ileż to razy Zygmunt zatęskniony za widokiem Leoni, po herbacie i wieczerzy, powiedziawszy rodzicom dobranoc, wychodził za miasto, a skierowawszy się ku zachodnio-północnej stronie, przez ścieżki i drożyny uboczne, skracające dzielącą go przestrzeń od drogiej Lili, na skrzydłach miłości spieszył i nadedniem przybywał do Zarzecza. Na umówiony znak, na trzykrotne stuknięcie w ramę okienka pokoiku narożnego, jak za magicznem dotknięciem różczki czarodziejskiej, jasnowłosa rusałka stawała w progu drzwi prowadzących do ogrodu. Witali się uściśnięciem ręki, kilku serdecznemu braterskiemu słowy, usiadali oboje na kamiennej ławeczce pod rozłożystą lipą i patrząc na pierwsze promienie wschodzącego słońca, rozmawiali o wszystkiem, o wszystkiem co ich obchodziło, co zajmowało, co bawiło lub chwilowo smuciło, ale nigdy o miłości. Tak, o miłości nie mówili nigdy... nigdy namiętne wyrazy, zapewnienia i przysięgi miłości nie wyszły im z ust. Kochali się, wiedzieli o tem, i nie mówili jak o rzeczy, która jest taką, bo inną być nie może, nie może być przeinaczoną, nie może być odmienioną. To też i o kiedyś mogącym nastąpić związku małżeńskim, również mowy nie było. Wszakżeż wypływało to już samo ze siebie, że stosunek ich inaczej zakończyć się nie mógł, czyż o tem mówić potrzebowali??! A może i nie myśleli jeszcze... tak im było dobrze, tak byli szczęśliwi... takie czuli niebo w sobie i koło siebie! przeczuwali, że szczęśliwsi być już nie mogą, nie pragnęli zmiany.

Słuchali razem miłośnego spiewu ptaszząt, upajali się wonią kwiatów i łąk skoszonych, patrzyli sobie w oczy, a gdy już zbytecznie uczucie wzbierało im serca, uścisnęli się za ręce, i drogi Mundzio nakarmiony, napojony i pocieszony najmilszym widokiem, widokiem ukochanej Lili, nim jej rodzice i rodzeństwo pobudzili się do zajęć codziennych, już był na znanych ścieżkach z powrotem do Krzemieńca, by nie opuścić godzin szkolnych, by w czas znaleść się w gronie kolegów garnących się tłumnie i ochoczo do przybytku światła i wiedzy.

Przed chwilą różowe chmurki na wschodzie, słońce podnoszące się pozłociło, a wynurzywszy się całkowicie z za rąbka jednej dlugim pasmem wyciągnionej na kraju horyzontu, snopami światła rzuciło na całe niebo i ciepłem tchnieniem ogrzało ziemię. Kwiaty tęskniące w cieniu nocy za światłem i ciepłem, podniosły teraz główki wesoło i tak świetnie jaśniały przepychem barw i zieleni, jak my jaśniejemy radością, gdy po długiem niewidzeniu ujrzemy ukochane oblicze. I Lili może dawno, dawno, nie widziała Zygmunta bo teraz gdy go wita, taka radość jaśnieje jej z błękitnych oczu, taki wyraz szczęścia osiadł na koralowych rozchylonych usteczkach, tak miłośnie skłania główkę na jego ramię, iż on upojony obecną chwilą, goręcej ściska drobne rączęta w swych dłoniach, gorętszemi okrywa je pocałunkami.

— O jakże to dobrze, że dziś właśnie przyszedłeś, chciałam pisać, poradzić się ciebie w ważnej, bardzo ważnej rzeczy. Lecz, chodź dogi Mundziu, usiądziemy na kamiennej ławeczce pod lipą, tam ci opowiem o co tu chodzi i zasięgnę rady. Lecz czyś się ty liczył z czasem? czy wiesz, że to dziesięć dni jak nie widzieliśmy się! Dziesięć dni! niedobry, a ja tak tęskniłam, tak czekałam.

On z nieokreślonem uczuciem miłości patrzał na śliczne szczebioczące dziewczę.

— Nie mogłem, ty wiesz Lili, że jeżeli nie przychodzę, to nie mogę, mieliśmy tak wiele zadanego, uczyłem się po nocach. Zaledwie dziś znalazłem chwilkę wolną, wyrwałem się. Niespokojny byłem, od niejakiego czasu dręczy mnie jakiś dziwny, nieujęty i niewytłumaczony niepokój.

Lili rozśmiała się dźwięcznym głosem, jak srebrne dzwoneczki metalicznym.

— Ty może przeczuwasz, że u nas bywa pułkownik i zazdrośny jesteś??—i śmiała się swywolnica.

— Pułkownik? cóż on może robić w waszym domu? — szorstkim głosem zapytał Zygmunt.

— A widzisz, widzisz żeś zazdrośny, — klaszcząc w ręce wołała wesoło — lecz uspokój się — dodała poważniej — kupuje konie u tatka i nie może się zgodzić o cenę, ale podobno umowa przychodzi już do skutku.

—Chodź, chodź Mundziu pod lipę, niech ci powiem mój ważny interes, bo gotowam zapomnieć.

Usiadła obok niego, wzięła go poufale za rękę i patrząc mu w oczy, tak dalej szczebiotała:

— Dostaliśmy, rodzice i ja zaproszenie do Krzemieńca do państwa M. na tańcujący wieczór na sobotę. Będę miała białą sukienkę, i mama chce, bym wzięła pąsowe wstążki, a ja wiem, że ty nie lubisz tego koloru, powiedziałam też mamie, że nie zapytawszy ciebie, nie powiem stanowczo, że je wezmę. No cóż? — I patrzyła mu w oczy i czekała rady.

—Jeżeli ciocia życzy sobie koniecznie, żebyś wzięła pąsowe, to weź, lecz wiesz, że ja cię najlepiej w niebieskim kolorze lubię.

— O, to pąsowe wstążki tej chwili pójdą na sam spód pudełka — wesoło zawołało dziewczę — a dziś jeszcze porobię kokardy niebieskie.

— Lecz mama... — począł Zygmunt.

— Ach, ja naprzód już wiem — przerwała— co mama powie, tyle razy już to słyszałam: „Jak się ty możesz tak poddawać despotyzmowi Zygmunta. Opanował cię zupełnie, ty nie masz w niczem swojej woli, tak mu się powodujesz jak niewolnica. Niech no on spróbuje tak rządzić, którą z rodzonych sióstr, niech jej doradza jakie ma sprawiać sukienki, jakie dobierać wstążki, to go wyśmieje, wydrwi, ale z pewnością nie posłucha. On to już ma taki despotyczny charakter, w domu nie ma go gdzie rozwijać, to sobie ciebie upatrzył. Ależ tobie! prawdziwie wydziwić się nie mogę!“

— Oto jest kazanie, które z twego powodu bardzo często słuchać muszę — mówiła Lili śmiejąc się — i śmiali się oboje, tak im się zabawnem wydawało, by stosunek Zygmunta do Lili despotyzmem nazwać można.

— A teraz Mundziu, jeszcze jedno. Zapewne dostaniecie, ty i starsi uczniowie, takie zaproszenie na ten wieczór, powiedz mi, co mam z tańcami zrobić? Który ty dla siebie zamawiasz?

— Który? gdyby to być mogło, ja bym wszystkie sobie zamówił.

— Gdyby to być mogło, lecz to być nie może, więc który?

— Zawsze tańcujemy ze sobą pierwszego mazura i w sobotę nie oddam go nikomu.

— Bo widzisz, Mundziu, mama chciała żebym właśnie tego pierwszego mazura tańczyła z pułkownikiem. Był wczoraj u nas i zamawiał mnie do niego.

— Jakto? — brwi ściągając, zawołał Zygmunt — i tyś przyrzekła?

— Nie, nie przyrzekałam nic, ale bardzo trudno było się wymówić, tak prosił, a mama powiada, że to taki dobry człowiek, że mu nie trzeba przykrości robić, że z tobą mogę tańczyć inny taniec

Podczas szczebiotania Lili, Zygmunt z trudnością powstrzymywał wybuch gniewu.

— Ty z nim żadnego tańca tańczyć nie będziesz!—wybuchnął—gdyby nawet mama powiedziała, że jest najlepszym na całym świecie człowiekiem!

— Mundziu, nie gniewaj się, wszakże ja się ciebie radzę, co mam zrobić; lecz cóż mamie powiem?

— Powiedz prawdę, że z Moskalem tańczyć nie będziesz.

— A gdy on przyjdzie prosić mnie do tańca?

— Ty już żadnego do dania mieć nie będziesz, ją z moimi kolegami przyjdziemy wcześnie do państwa M., będziemy już czatowali na twoje przybycie, i w progu jeszcze po zamawiamy wszystkie tańce, i Moskala puścimy z kwitkiem.

Oburzenie ustąpiło już miejsca rozweseleniu jakie myśl zrobienia figla pułkownikowi wywołała na twarz Zygmunta, śmiał się ściskając drobniutkie rączki Lili — patrząc w czarowne oczka — i ona się śmiała... Młodzi byli i szczęśliwi...

Swietne były owe czasy w Krzemieńcu. Duch nie dawno zmarłego Czackiego unosił się nad wybranem i nad inne ukochanem przez niego miastem, ogrzewał miłością i zgodą tysiące piersi młodzieży polskiej i światłość bijąca, niejako z naukowego centrum Wołynia, wszystko na okół rozświecała. Bardzo wiele rodzin polskich przybywało ze wsi na mieszkanie, to też nie wielkie miasto przepełnione było mieszkańcami, a wszyscy żyli ze sobą przyjaźnie, zgodnie, niemal po rodzinnemu.

Rodziny zamieszkujące ówczesny Krzemieniec, związane były wszystkie prawie z liceum serdeczną nicią, gdyż synowie tych rodzin byli to uczniowie Wołyńskiego gimnazyum. Jedność, jaka panowała między młodzieżą, wpływała na rodziców i zacieśniała węzły prostej znajomości.

Wysoko pod każdym względem stać musiała młodzież szkół krzemienieckich, gdy nie tylko w onczas, lecz później, wiele już później, gdy nigdy nie uspiona złość wroga naszego zgasiła ten jasny promień światła, płynący z duszy jednego wielkiego człowieka, jednego prawdziwego patryoty, nazwa „uczeń krzemieniecki“ budziła szlachetną dumę w mogącym się tak nazwać, a w tym, który tę nazwę usłyszał, wyobrażenie wyższości!

Pani M. miała dwóch synów w liceum, na wieczorek zaprosiła więc kolegów ich, kilkunastu uczni z wyższych klas. Profesorowie, światli przewodnicy młodzieży, nie bronili jej zabawy przyzwoitej i umiarkowanej. Między zaproszonymi był i Zygmunt.

Dom państwa M. gorzał od świateł i bił jasną łuną aż na ulicę. Powóz wiozący Lilę i jej rodziców, zatrzymał się przed bramą. Jak leśna boginka, lekka, wiotka i uśmiechnięta, wyskoczyła na ziemię wysłaną kobiercami, i cała w białych konwaliach i błękitnych wstążkach, niedotykając prawie ziemi drobną nóżką, obciśniętą w biały atłas, poskoczyła na kilka schodów przystrojonych w kwiaty i zwierciadła. Stanęła, obróciła się, patrząc czy matka podąża za nią. Tak była piękna w tym stroju umiejętnie dobranym do delikatnej, jakby ze srebrnej mgły uwitej postaci, że nawet służba stojąca na schodach, patrzała na nią z lękliwym podziwem jak na nadziemskie zjawisko. Spojrzała w zwierciadło, uśmiechnęła się z zadowoleniem, poprawiła misternie upięte włosy, spływające złocistą kaskadą na krągłe alabastrowe ramiona. Pewna była poklasku, pochwały, tryumfu, pewna królewskiego berła na dzisiejszy wieczór. Nie zawiodła ją ta pewność, zaledwie przestąpiła próg salonu, ujrzała się otoczoną młodzieżą, i gdyby było dwa wieczory, byliby się znaleźli ochotnicy do przetańczenia ich z nią. Jedni przed drugimi zamawiali tańce, prosili, błagali, lecz wielu odeszło z niczem.

Gdy zabrzmiał wesoły mazur i pary poczęły się zbierać, Zygmunt wprowadził Lilę do koła.

— Cóż pułkownik? już wie, że nie masz dla niego tańca? rozdałaś wszystkie?

— Gdybym była miała dwa razy tyle do dania, byłabym rozdała — odpowiedziała pomijając milczeniem pierwsze zapytanie.

— Mundziu, jak mnie znajdujessz w tym stroju? czy mi ładnie? — pytała niby filuternie, niby nie pewnie, będąc przecież pewną odpowiedzi.

— Lili moja, tyś zawsze taka piękna, lecz dla mnie najpiękniejszaś o wschodzie słońca pod naszą ukochaną lipą, w rannej sukience, z wolno puszczonemi warkoczami, gdy patrząc na ciebie bez świadków, bez gwaru kradnącego mi dźwięk twego głosu.

Mówił lekko pochylony ku niej, a pieszczone, miękkie wyrazy płynące z piersi tego silnego, energicznego młodzieńca, dziwny miały urok. Lecz Leonia upojona tańcem, muzyką, światłem, hołdami, nie odczuła go.

— Mundziu! wszak nie możemy widywać się tylko pod lipą.

Na poły żartem, na poły z wymówką, którą czuć było w głosie — rzuciła mu tę odpowiedź. Uczuła się dotkniętą, że Zygmunt nie unosił się nad jej istotnie pięknym, estetycznie obmyślanym strojem.

— Lili! a wiesz ty, że nie zaraz już użyjemy pod naszą lipą tego cichego, niczem nie zamąconego szczęścia.

— Nie rozumiem cię, dlaczego?

— Wiesz, że teraz nastąpi pora egzaminów, popisów publicznych, będę się musiał przygotowywać, i trzy lub cztery tygodnie nie będę się mógł wydalić z Krzemieńca.

— Ani przyjdziesz? ani w niedzielę nie przyjdziesz?

— Nie będę mógł, to są ostatnie popisy, pragnę otrzymać „złoty medal“, abyś się mogła mną poszczycić!

Wir tańca unosił Leonię.

Zygmunt pięknie i dobrze tańczył, wybierano go, i coraz inną tanecznicę miał obok siebie, gdy w promieniach zbliżył się czasem do Leoni, popatrzyli na siebie, uśmiechnęli i znowu rozdzielano ich, bez ich woli. W końcu znalazł się znowu obok Lili, lecz na to już, by zakończyć mazura i zmęczoną odprowadzić do matki, siedzącej na kanapie pod kląbem kwiatów. Nie miał czasu usiąść przy nich, gdyż Leonia poprosiła go, by poszukał jej wachlarza, który zostawiła w drugim pokoju. Gdy powrócił, zastał zajęte miejsce przez pułkownika. Krew w nim zawrzała, obrzucił natręta wzrokiem nienawistnym, a przenosząc oczy na Leonię, spotkał się jak zawsze z jej oczyma, w których świecila taka prośba o zapanowanie, o spokojne zniesienie tej małej przykrości wyrządzonej im obojgu, że Zygmunt istotnie zapanował nad sobą, i oddalił się do drugiego pokoju nie rzekłszy ani słowa.

Za chwilę zabrzmiał kadryl, on przecież nie spieszył po swoją tancerkę, nie była nią Lili ukochana, czekał aż się pary ustawią, by wtedy ze swoją stanąć do koła. Gdy wszedł pomiędzy tańczących jakiż go widok uderzył, Leonia stała z pułkownikiem!... Jak przetańczył tego kadryla, sam nie wiedział, to pewna, że tańcząca z nim panna, nie mogła go zaliczyć ani w poczet dobrze tańczących, ani też miłych ludzi.

Skorzystał z pierwszej chwili, gdy mógł się zbliżyć do Leoni, stanął za jej krzesłem — i rzekł tylko:

— Lili — co to było???

— Mundziu mój drogi, nie gniewaj się na mnie, nie mogłam odmówić, mama sobie życzyła, mama kazała.

On milczał, lecz oczu pełnych wymówki nie spuszczał z niej.

— Mundziu! — zawołała — jeżeli mi nie powiesz, że się nie gniewasz na mnie, to się rozpłaczę!

Słowa wymawiane przez Lilę drżały już wibracyą nerwową.

— Mój drogi, mój jedyny, nie gniewaj się na mnie, jam nic nie winna, i zabłysła jej łza w oku.

Pieszczony głos ukochanej, łza w jej oku kogoż nie zwruszy? Im mężczyzna hartowniejszy, im więcej w nim siły męzkiej a szlachetnej, tem prędzej, tem łatwiej poruszy się temi czarodziejskiemi urokami.

I Zygmunt wzruszony, gdyby nie liczne otoczenie, gdyby nie pełny salon świadków, byłby się rzucił na kolana przed Leonią, kraj jej szaty całował prosząc sam przebaczenia za wzrok surowy, za surowy wykrzyk wymówki. Po cichu zamieniła z nim jeszcze słów kilka, i zupełnie uspokojony, a nawet szczęśliwy, ufniejszy niż kiedy ustąpił swoją Lilę jednemu z kolegów do następnego tańca.

Wieczór się skończył, i nazajutrz panie z Zarzecza odjechały do domu odprowadzone przez Zygmunta daleko za miasto. O jakże zrobiło mu się smutno, gdy powóz wiozący skarb jego znikł mu z oczu w kurzawie prochu. Pozostał sam z myślą, że miną tygodnie długie, a on nie będzie mógł wykraść godzin kilku, by się pocieszyć widokiem miejsc drogich i droższych nad nie osób! Nie zobaczy już Leoni miesiąc cały, a nie było dotąd tygodnia w ich życiu, w ciągu którego nie widzieliby się dwa razy co najmniej. Lecz Zygmunt był młodzieńcem silnej woli, hartu męskiego, sam sobie naznaczył ten rozdział, uważając go potrzebnym dla nauk swoich, wiedział że przetrwa go odważnie, więc chociaż smutny, zebrał się za powrotem energicznie do pracy. (C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Cristoforo Allori malował zawsze Judytę z głową Holofernesa, piękną, dumną, czarnobrewą żydówkę, z wyrazem tryumfu na twarzy. Carlo Dolce malował świętych i święte błękitną i niecielesną barwą, mdłe i niemocne — wciąż podobne do Beatrice Cenci, ale o wiele gorzej malowane, i o nienaturalnym kolorycie. Słodycz ich nie pozbawiona minyardycy. Chodzą na palcach zda się, i wiedzą o tem, jak ręce i jak nogi ułożone. Chrystus w baletniczej pozie stanął przed świętym Janem Chrzcicielem; Matka Boska modli się szczerze, ale nie zapomniała o tem, że na nią patrzą; a pokutnice wyszły nie z pustyni, jeno z budoaru. To też dla tego i Carlo Dolce wielu kobiet faworytem. Jeźli która więcej w budoarze żyła jak na świecie—jeźli nie znała ani życia powszedniego ludzi, ani wielkich zajęć świata wielkiego na prawdę i na Europejską skalę, jeźli więcej oddychała wódką kolońską jak powietrzem, jeźli na słońce patrzała wciąż tylko z za welonu gazy, a na ludzi z po za welonu drobnych konwe-

nansów, postawi Carla Dolce powyżej Rafaela — a na równi z nim chyba tylko *Albanego*, malarza pulchnych, ale trochę afektowanych dzieci.

Jeźli Carlo Dolce jest czułostkowym — *Guercino* bywa smętnem afektownie. Bladzi święci, nadzy a z grecka kształtni siedzą w zmroku nad księgami — a w Kapitolu Chrystus zlatuje wśród zmroku na sentymentalnym obłoku, aby uścisnąć świętą Petronellę—jakby amant ziemski.

Z nim to się kończy poczet znaczniejszych jezuickich malarzy Rzymu. Obok nich stanął *Cararaggio*, malarz kapucyński.

Nie wszystkim wystarczy świat Pańskiej dewocyi, nie dla wszystkich dostępny. Retoryczna miara, albo salonowa czułość jezuickiego kazania nie każdego wzruszy, a pozostanie nie zrozumiałą dla ludu. Jemu trzeba rubasznych żartów i krzykliwej religii. I dla tego to stanął w Rzymie papieskim nieumyty Kapucyn obok Jezuity. Gubi pantofle na ulicy, na głowie karmi całe narody sześcionogie, wałęsa się po kuchniach i kredensach, i błaznuje ulicznikom nabożnie. I to samo czyni nadzwyczaj silny pęzel Cararaggia. Rad maluje żołnierzy, co schwytawszy panicza, do kart go posadzili, aby obegrać, a kiedy maluje nabożne obrazy, pojmuje je po chłopsku. Tęga baba z zamazanem bobem (?) siedzi na tronie w wiedeńskim Belwederze, a kapucyni i nagie pastuchy klęczą do koła, z zabłoconemi nogami, Prostacy niosą w Watykanie, wrzeszcząc, ciało Chrystusowe do grobu — i prostak rzecz tę zrozumie — choć rzecz ta będzie razić salonowego Dominichina, i budoarową admiratorkę Carla — choć rzecz ta wielce niesmaczna dla tych, co nadewszystko kładą spokojny klasycyzm Rafaela.

III.

Nie pozostała tedy dla nas niemą sztuka Chrześcijańskiego Rzymu, i odsłoniła niejedną tajemnicę piękna. Widzieliśmy jak piękno rozmaicie do rozmaitych oczu przymawia, jak prostak pragnie czego innego, a jak się czem innem zadawalnia pan wielki; jak znowu co innego żąda klasycznie wprawne oko. Nie potrzebujemy dowodzić tego, że tych głębokich różnic przyczyna nie leży w różnicach organizmu fizycznego, bo ludzie co wymagali tak różnego piękna, do jednego należeli narodu, mieli jeden kąt ciasny, jedną krew w żyłach i pod jednem żyli niebem. Czysto duchowne tedy przyczyny wytłómaczą nam ową zagadkę, a przekonamy się niebawem, że tylko różny tryb życia i stopień wykształcenia był przyczyną, że każdy inaczej chciał wzmódz swoją istotę, ale zawsze przez miłość i wiedzę — tylko zawsze po swojemu.

I dla prostaka nie jest niemem greckie piękno — i on będzie podziwiał piękną niewiastę, i jego wzruszy treść traicznej opowieści, a rozśmieszy upokorzenie pyszałka. Ale prostak nie miał w życiu całem czasu dość, by się oddać owemu używaniu, i nikt go nie naprowadził na subtelną drogę. Musi się ciągle trudzić o chleb i walczyć z żywiołami — a gdy ma chwilę wolną, rad spocznie jak zwierzę, i jak zwierzę użyje tylko ciałem. A gdy mu się zjawi jakie subtelne piękno, spojrzy na nie ospale, i pomyśli, że to koncept pański. Aby piękno zwróciło na siebie jego uwagę, musi być głośne jak muzyka, albo uderzające — ogromem, jaskrawością barw lub uczuć, albo bogactwem. Wtedy tylko zatrzyma go to piękno na uwięzi — i wstrzęśnie nim, — i jeszcze wtedy nie będzie rozróżniać szczegółu, nie będzie sądził rzeczy, i tylko nieświadomie i na pół sennie odczuje patetyczne albo komiczne wrażenia, albo będzie podziwiał moc twórcy dzieła, co przecie także był człowiekiem — albo bezmyślnie będzie pił barwy oczyma, a uszyma tony. Podziw jednak będzie u niego wkrótce panującem i przemożnem uczuciem; on bowiem czuje własną niemoc bardziej od innych, i moc obca jest rzeczą, co go wprost grozą przenika. Nie widok bezpośredni przedmiotu, ale myśl o twórcy przenika go dreszczem, i dreszcz ten staje się najwyższą rozkoszą, jeśli prostak wierzy, że twórca ów był świętym, a staje się przestrachem, jeźli myśli za pomocą Szatana.

Długo trzeba przebywać wśród piękna rozmaitego, by umieć rozróżniać jego odcienia i rodzaje. Kto pierwsze kroki stawia w świat artystycznej rozkoszy, ten jest podobny do podróżnika co przybędzie w kraj mówiący obcą mu mową. Słyszy dźwięki, to śpiewne, to szorstkie — czasem obojętne, to znów gniewne albo miłośne, ale znaczenia dźwięków nie rozróżni; i zdaje mu się zrazu, że każde słowo podobne do drugiego, aż powoli rozróżni zgłoski w niewyraźnym szczebiocie, i zrozumie mowę, naczynie myśli ludzkiej.

Podobnie się dzieje i z mową piękna—tylko że mało komu dano nią władać — każdy jednak gdy zechce, gdy jej uważnie słuchać będzie, zrozumie ją. Uważnie patrząc na szczegół każdy, pamiętając każde wzruszenie, polubi się wielkość i siłę, kształtność i ideał, wdzięk i grozę, myśl mistycznej miłości, ślad człowieczego rozumu i rozkosz barwy i światła, a znienawidzi się wszystko co człowieka odpycha i maleje, szarość, bezkształtność, niezrozumiałość, co się stają brzemieniem dla rozumu; brzydotę co jest zaprzeczeniem ideału; wreszcie złość i nienawiść. I gdy przyjdzie chwila, w której społeczeństwo jakieś w pełnej czystości ukocha piękno, a odwróci się od przeciwnego bieguna, gdy będzie miało słuch czuły na każdy najlżejszy oddźwięk uczucia, pobudzonego przez dotknięcie piękna lub brzydoty przyklaśnie temu, co wśród niego wskrzesi sztukę Rafaela albo Fidyasza. A Fidyasz albo Rafael stanie niezawodnie wśród narodu, co go zrozumieć zdoła; — bo taki naród podobny do owych greckich żeglarzy, co usłyszeli śpiew Syren, i stawszy się nieczułymi na wszystko inne w objęciach syren śmierć znaleźli.

Kto jeszcze nie nabył drażliwego słuchu artystycznego wirtuoza a stał się już wykształconym, ten zna już piękno, ale nie całe — ten unika brzydoty ale niewszystkiej. Więc szuka piękna jednego w wysokim stopniu i dla niego poświęca wszystko inne. Takie piękno jednostronne jawi się nietylko w sztuce, ale i w życiu jawić się może, i za nim goni naród żyjący, i wysoko stawia tych, co mu piękno owo dają — co się nazywa w życiu chwałą — cnotą — stałością i poświęceniem.

Ale piękno owe jawi się tylko przezwyciężeniem brzydoty — krwi bitew, trudu codziennych mozołów, zawiści ludzkich i tysiącznych nędz żywota. Wysokie ono, górne i w życiu i w sztuce; przemawia w majestacie trajedyi Sofoklesa, i w zadumie postaci Buonarottego, podobnie jak w czynach mężów hartownych i poświęconych niewiast. Nie jest ono jednak jeszcze pełnem a zgubnem śpiewem syreny, dającej społeczeństwu jad w czarze ideału. Spokojne, nieskalane piękno opuszcza kraj życia i poezyi; niezestępuje jeszcze w tęskne światy muzyki, a jawi się rzeźbą i pęzlem, przez chwilę jedną w życiu narodów. Zjawiło się ono Włochom w szkole Ateńskiej i dyspucie sakramentu i uczyniło je niezdolnemi do trudów i bojów życia. Włochy pragnęły piękna tylko i niczego więcej — a ono w nieskalanej pełni nie ostoi się na ziemi — a ono jest martwem bez cnoty twardej. I Włochy dostały zamiast piękna pokutę i niewolę, podobnie jak niegdyś Hellady.

I same piękno zmieniło się wnet w ich ręku. Moda i dobry smak stanęły przy niem i otruły je. One były owocem pychy wykształconych i rozumnych, co nie mogli znieść, aby to co dla nich czarowne, było dostępnem dla motłochu — tych co chcieli sobie przyklasnąć, jako na poły nadludzkim istotom. Moda odparła sztukę nie w Rzymie sp'odzoną, dobry smak umyślnie zasłoną zakrył promienne piękno oblicza, chcąc mu dać dla ogółu pozory obojętne, po za ktoremi pan tylko i artysta pozna ukryte rysy cudu.

I pycha ta poniosła karę. Wkrótce piękno czyste ukryło się i dla niej samej ciemną zasłoną — i zapragnęli ludzie ci pańscy silniejszych, głośniejszych wrażeń. I znów chcąc posiąść piękno w wysokim stopniu, musieli przypuścić i pewną przymieszkę brzydoty. Tylko dawna siła i pierwotna młodość znikły niepowrotnie: nie szorstkie już tedy tworzono dzieła, i nie do zbytku bujne — jedno wątłe i słabowite; Nie miarę poświęcono jedno zdrowie; chciano wzbudzić politowanie dla mdłych istot; chciano przedstawić ogładzoną dewocyą—i salonowy polor. Zakochano się w małych drobnostkach ruchu i maniery modnych w wielkim świecie, i zwiastujących zbytnią wrażliwość. I Carlo Dolce malował błękitne Madony, Bernini rzeźbił świętych, co tańczyli w balecie, płacząc i lamentując. — Dla zdrowych dziwa to niepojęte.

Dr. Wojciech hr. Dzieduszycki.

Moje Niebo.

Zachodzi słońce mojego życia
W coraz już grubszy cień —
Kielich goryczy blizki wypicia
Śmielej spoglądam weń —

Wkrótce u bramy gospody wiecznej
Pielgrzymi złożę kij —
A piosnce, mojej drużce serdecznej
Może Bóg powie: żyj!

Więc się rozstaniem! — odlecisz pieśni,
Samotny siostry grób —
I cicho będzie... ach! cicho w cieśni
Po burzy, walk i prób.

Smierć? gdzież prowadzi? mówią mi jedni
Że tylko w nicość... w mrok —
W pierwotny chaos.. o biedni, biedni!
Zagasł im ducha wzrok!

Drudzy mi mówią, że w straszne kraje
Za gorejący próg —
Gdzie potępienia sądy wydaje —
Nieubłagany Bóg! —

I wam nie wierzę, krucy wy czarni,
Bóg! — miałby srogim być? —
I dla wieczystej tylko męczarni
Kazać swym tworom żyć?

W ciemnie więc wiedzie żywota droga,
By w ciemność rzucić znów?
Nie! — ja chcę wierzyć w miłości Boga,
W Boga mych pięknych snów!

* * *

Ojcze mój! — oto mówię do Ciebie
Jak za dziecięcych lat,
Kiedy marzyłam o Twojem niebie,
Że to — cudowny świat!

Gdzie same szczęścia głosi godziny
Wieczności złoty dzwon —
Gdzie wśród aniołów jasnej rodziny
Twój jasny wzniósł się tron —

Gdzie u stóp Twoich prawda słoneczna
Niezgasły rzuca blask —
A wieczny spokój i miłość wieczna
Jest szczytem Twoich łask! —

Tak oświecało mych marzeń zorze
Twój obiecany — raj!
Lecz dziś... dziś proszę Ojcze i Boże
Inne mi niebo daj,

* * *

Po życiu męki, łez i tułactwa
Wśród obcych ścian i dusz —
Panie! ja na kształt błędnego ptactwa
Odpocząć pragnę już!

W blask szczęścia nie chcą wierzyć już oczy,
Serce — w miłości spiew
Niech mnie więc ręka Twoja otoczy
Cieniem ojczystych drzew!

Wśród drzew tych daj mi chatkę ubogą
Strojną w pamięci bluszcz
I nic już więcej, nic i nikogo —
Oprócz muzyki — puszcz!

Marja B.

SZCZUR.

NOWELLA

przez

A. de F.

I.

Był to szczur, „szczur bulwarowy“, bulwarem bowiem nazywa się w Nowym Orleanie sztuczna Grobla, budowana na brzegu Mississipi, a służąca do ładowania i wyładowywania okrętów. „Szczurami“ zaś nazywają młodych włóczęgów, żyjących „własnym przemysłem“, to jest tem, co uda się im schwytać czy to ze straganów nadbrzeżnych, czy też z leżących stosami ładunków okrętowych. Istne to szczury, człowieczego rodu, prześladowane przez wszystkich, jak zwykle szczury domowe, i również jak tamte, ukrywające się po ciemnych dziurach.

Ten, o którym mówimy, był to chłopiec dwunastoletni, oszczędzony, niewiadomo jakim cudem, przez trzy plagi trapiące ludność wielkomiastową: nędzę, głód i tyfus. Odpowiadał na imię Dick (zdrobniałe Ryszard), nie wiedząc nawet czy otrzymał je od rodziców chrzestnych, nie przypominając sobie czy miał kiedy ojca, matkę lub kogokolwiek z bliższych osób.

Jedyne ubranie Dicka stanowiły spodnie, koloru niegdyś granatowego, zawieszone u ramion za pomocą dziwnej jakiejś kombinacyi sznurków i szelek; resztki flanelowej koszuli i kapelusz filcowy, pozbawiony formy wskutek deszczów, a pierwotna barwa którego, przez długie użycie zmieniła się w szaro-błotnistą. Bose nogi jego nie oglądały nigdy na sobie ani pończoch, ani żadnego obuwia. Podobne narażanie nóg na odmiany powietrza, praktykowane chwilowo dla zahartowania się, mogłoby niezawodnie wyjść na dobre chłopcu uczącemu się gimnastyki, ale nasz Dick nie tylko o gimnastyce lecz i o wszelkiej innej nauce nie miał najmniejszego wyobrażenia.

Pod względem fizycznym zwracały uwagę żywe i pojętne oczy jego; pod względem moralnym posiadał ową względną uczciwość młodego złodzieja, któremu nikt nie powiedział, że kradzież jest czynem karygodnym, a który z własnego wiedział doświadczenia, że kiedy się kradnie, nie trzeba się dać złapać. Dzięki temu doświadczeniu, nie łatwo też było uchwycić Dicka na gorącym uczynku.

Przykro mi jest nazywać bohatera naszego „młodym złodziejem.“ Mogę jednak oświadczyć w jego obronie, że robił to tylko co robią wszystkie młode zwierzęta w walce życiowej. Dick nie znał innego prawa, oprócz prawa natury, a wyciągając kawałki cukru z baryłek, garść bawełny z paki, lub inny jaki przywiaszczający sobie przedmiot, czynił to wskutek tego samego popędu, wskutek którego wróbel dziobie czereśnie, a królik rzepę ogryza, przyczem policyant tyle wzbudzał w nim strachu, ile ogrodnik strasznym jest dla wróbli i królików.

Bulwar, będący polem działalności Dicka, rozciąga się naprzeciw ulicy Jackson, gdzie zwykły zatrzymywać się parowce angielskie. Dzień, w którym zabieramy z nim znajomość, nie był dlań wcale pomyślnym. Polowanie jednostronnie powiodło się tylko, a mianowicie, że na ten raz zwierzyną został sam Dick, przytrzymany pomiędzy dwiema pakami bawełny. Majtkowie z *Amfitryty* okładali go pięściami, kopali nogami i odrzucali „szczura“ jeden drugiemu, jak chłopcy w piłkę grający. Dickowi zbyt już długotrwałą wydała się ta bolesna zabawka z jego osobą, gdy nagle, tuż za nim, zabrzmiały następujące słowa, wyrzeczone dźwięcznym choć pełnym oburzenia głosem:

— Ah! co za wstyd, pastwić się w podobny sposób nad biednem dzieckiem!

Słowa te wyrzekła kobieta w eleganckiej muślinowej sukni; dama o pięknej twarzy i figurze, obdarzona wszelkiemi wdziękami, jakie strojna toaleta uwydatnić zdoła. Począwszy od zgrabnych bucików, okrywających maleńkie jej nóżki, aż do jedwabistych włosów spływających puklami z pod kapelusika, wszystko w niej nosiło na sobie cechę bogactwa i wytwornego gustu. Stoi ona u stóp drabiny, wiodącej na angielski parowiec, a usłyszawszy płaczliwy krzyk szczura — zawołała:

— Ah! co za wstyd, pastwić się w podobny sposób nad biednem dzieckiem!

Prowadzący ją pod rękę kapitan Gilbert, który zaprosił ją wraz z innemi osobami na pokład swego statku, krzyknął również na majtków:

— Hej! dosyć już tego, słyszycie?! puśćcie tego dzieciaka, i wracajcie do swojej roboty; bo podczas kiedy wy bijecie szczura, paki nie dostaną się same na okręt.

Dick nie mając dotąd sposobności wymknięcia się z rąk swoich prześladowców, przytulił się do jednej z pak i skurczył się, aby o ile możności jak najmniejszą przestrzeń swego ciała narazić na nieuchronne ciosy. Nie pilno mu wcale wyprostować się. Nieprzyjaciel blisko jest jeszcze, śledzi go więc z pod oka, aby czmychnąć skoro tylko stosowna nadarzy się chwila.

— Musieli go zranić — rzekła dama — biedne dziecko nie ma siły ruszyć się z miejsca.

I nie czekając odpowiedzi, sama podchodzi do szczura, który tak się zmięszał tem zjawiskiem, że stracił równowagę i potoczył się kilka kroków. Dama widząc, że chłopak ma całe ręce i nogi, spokojniejsza już, nie może powstrzymać uśmiechu na widok jego postaci: raz bowiem popchnięty na stos węgli, uczernił się z jednej strony, gdy po drugiej stronie był żółty, wskutek przymusowego zetknięcia z beczką napełnioną jakimś płynem tego koloru, a wszystko to upstrzone bawełnianym puchem.

Na dźwięczny głos, obijający się o jego uszy, Dick zdziwiony otworzył szeroko oczy, gdyż pierwszy to raz w swem życiu znajduje się w obecności tak pięknej damy, i pyta się sam siebie, co to z tego będzie.

— No, wstawaj! — woła na niego kapitan — nie masz się już czego obawiać.

— Czy nie możesz się podnieść, mój mały? — powtarza dama.

I dotknęła się go czemsiś, tak cudownem, czego Dick nigdy jeszcze nie widział — rączką swą — rączką, w białej rękawiczce o złotych guzikach, zakończonej koronką. Nie, Dick nigdy czegoś podobnego nie widział; nigdy nie czuł tak miłego dotknięcia; nigdy nie przemawiano doń tak łagodnie i czule!

— Gdzie ja jestem? — myślał sobie.

I wpatrywał się w twarz damy.

Wyraz tej twarzy niezrozumiałym był dla Dicka. Widywał on gniew na twarzach tych co go złapali na gorącym uczynku; widywał tryumf ściągających go, skoro został przytrzymany; widywał pogardę... o tak, najczęściej pogardę spotykał. Ale ten wyraz litości i współczucia, to zupełnie coś nowego. Napis w języku hebrajskim nie byłby dla niego bardziej zagadkowym.

Teraz ani myśleć już o ucieczce. Dama, jakiś pan obok niej, kapitan parowca i jego porucznik, tworzą półkole przed zaklętym szczurem. Po za nim wielka paka bawełny, do której przytulił się napadnięty przez majtków. Nie śmie się więc poruszyć, a dziwnie i coraz bardziej wzruszony, zakłopotany i oczarowany niezwykłą dla siebie sceną, zamyka nagle oczy.

— Zemdlał! — zawołała dama. — Byłam pewną, że musi być ranny. Ah! patrzcie, panowie, krew!

Rzeczywiście kilka wielkich kropli krwi zczerniałej ukazało się na rękawie koszuli; pochodziły one ze skaleczenia o gwóźdź wystający na pomoście, na jaki rzucono go podczas utarczki.

— Oddal się pani, pani Austen — rzekł kapitan. — Każę go opatrzeć. — Hej? — krzyknął zwracając się do swoich ludzi — przenieście tego chłopca na pokład i powiedzcie doktorowi, że ja proszę, aby opatrzył jego ranę.

Dick na próżno stawiać chciał opór, a gdy go wnoszono na pokład, mruczał z błaganiem:

— Ja wam nic nie zrobiłem!

II.

Zimne śniadanie zastawiono pod namiotem na pokładzie. Przybyły jeszcze dwie damy z dwoma mężczyznami, uczta wszakże wstrzymaną została ukazaniem się kilku ludzi z załogi, niosących kwadratowe skrzynki drewniane, płaskie a ciężkie i wydające dźwięk metaliczny, gdy dla spuszczenia ich w głąb okrętu, stawiano je na windzie znajdującej się tuż obok namiotu.

— Meksykańskie dolary! — przemówił kapitan.

— Jakaś olbrzymia suma! — zauważyła dama.

— Nie taka znów wielka, jak pani myślisz; w każdym razie dość znaczna. Każda skrzynka

zawiera dwa tysiące dolarów, a skrzynek jest czternaście... Wszakże tak, panie Mansfield.

P. Mansfield, jeden z oficerów okrętowych— odpowiedział twierdząco na zadane sobie pytanie.

Biesiadnicy wypili już po jednym kieliszku szampana, kiedy nadszedł doktor.

— I cóż? — zapytał go kapitan — jakże się ma pański pacyent?

— Doskonale — odpowiedział doktor — cokolwiek jeszcze jest osłabiony, ale przynajmniej umyty pierwszy raz w swem życiu.

— Biedne dziecko — szepnęła dama z westchnieniem. Czy wolno mu co zjeść?

— Zapiszę mu tam jaki dekokt — odparł doktor, biorąc z półmiska pół kurczęcia.

— Panie kapitanie, chciałabym mu ucztę sprawić.

Zbytecznem byłoby mówić, kto objawił to życzenie, i że kapitan nie miał odwagi odmówić prośbie dwojga pięknych czarnych oczu. Przywołany majtek, na dany sobie rozkaz, sprowadził Dicka, który pewniejszy już siebie, zaczynał wierzyć, że nikt tu nie myśli o skrzywdzeniu go.

— Jak ci na imię, mój chłopcze? — zapytała dama.

— Dick.

— Nie jesteś głodny, Dicku?

— Trochę.

— Tylko trochę? — rzekła dama jakby rozczarowana.

— Trochę — wytłómaczył kapitan — powiedziano takim tonem, to znaczy „bardzo“.

Dama wzięła ze stołu talerz, położyła na nim jedno kurczę, dodała do niego sosu tatarskiego, sałaty, kawałek chleba i inne jeszcze przekąski i wszystko to wręczyła Dickowi wraz z widelcem i nożem.

Dwa te ostatnie dodatki okazały się zupełnie zbytecznemi. Dick usiadł na pokładzie, wyciągnął nogi, postawił talerz na ziemi i jadł palcami, jak pierwszy nasz ojciec, Adam. Nie miał on żadnego wyobrażenia o gastronomii i zajadał bez żadnej symetryi i ładu jak mu co pod palce wpadło. Zjadł więc najprzód kurczę, potem sos zimny, następnie sałatę, w końcu chleb i resztę dodatków. Skończywszy, odetchnął, a w oczach jego wyraźnie odczytać się dało: „Jeszcze!“

Taż sama ręka napełniła mu talerz powtórnie; Dick zaś, jedząc bez przerwy, spoglądał na tę rączkę z podwojonym zachwytem, widział ją bowiem teraz bez rękawiczki, to jest, białą, pulchniutką, zdobną drogocennemi pierścionkami.

— Dlaczego — myślał sobie — tak wszyscy starają się spełniać życzenia tej damy? Czyżby ona każdemu miała napełniać talerz przysmakami?

Po raz trzeci napełniony został talerz szczura, w którym bynajmniej nie było znać zmniejszenia się apetytu.

— Gdybym był na twojem miejscu, mój chłopcze — rzekł doktor — zostawiłbym sobie trochę na jutro.

— I zrobiłbyś pan wielkie głupstwo — odparł Dick — bo bulwarowi kamraci wyjedliby panu wszystko jeszcze dziś przed wieczorem. Jutro tu nie będę, muszę więc korzystać z tego co mi dają póki tu jestem.

Filozoficzna ta uwaga, pobudziła do śmiechu wszystkich gości kapitana Gilberta, a dama zapytała znów doktora, czy Dick może wypić kieliszek wina.

— Może, pani; ale ja sądzę, że on będzie wolał kieliszek rumu albo wódki.

— Wódki! — zawołała dama. — Takie dziecko miałoby wódkę pić!

— Spróbuj pani — odpowiedział doktor.

Zrobiono próbę i Dick nie skrzywiwszy się nawet wypił duszkiem podany mu kieliszek rumu.

—To wcale nie złe!—mruknął ocierając usta.

Ostatni ten czyn szczura zmniejszył nieco sympatyą damy do niego. Pozwoliła mu oddalić się, nie przemówiwszy ani słowa.

— I cóż, mazgaju! — zawołał za nim kapitan — odchodzisz, nie podziękowawszy?

— Dziękuję panu.

— Nie mnie, nie! tej pani powinieneś podziękować.

— Dziękuję pani z całego serca!

Były to pierwsze uprzejme słowa, jakie kiedykolwiek wyszły z ust Dicka. Zkąd on mógł je umieć, Bogu jedynemu tylko wiadomo.

III.

Goście zabawili na parowcu aż do godziny szóstej po południu, a rozstając się z uprzejmym gospodarzem, zupełnie już o szczurze zapomnieli. Przechodząc jednak przez tamę, pani Austen ujrzała go biegnącego ku niej, co się wcale niepodobało jej towarzyszowi.

— Czy pani go kochasz?—zagadał ją bez żadnego wstępu Dick, wskazując ręką na parowiec.

— Kapitana Gilberta?

— Tak. Czy on jest kochankiem pani?

— Nie pójdziesz ty precz, smarkaczu! — zawołał oburzony towarzysz pięknej damy.

— Pozwól mu mówić, Fryderyku... Nie, mój mały, jestem mężatką, a ten pan to mój mąż. Pan Gillbert jest naszym dobrym przyjacielem. Jeździłam raz na jego parowcu z Liverpolu do Nowego Jorku, i wówczas okazał on wielką troskliwość w ciągu mojej choroby.

— To pani chorowałaś już kiedy?—zapytał szczur z wyrazem rzewnego zdziwienia.

— I nawet dość często, mój chłopcze — a w odpowiedzi na twoje pytanie, mogę ci powiedzieć, że bardzo lubię kapitana.

— I zmartwiłaby byś się pani, gdyby przytrafiło mu się jakie nieszczęście?

— Rozumie się—tak samo jak gdyby komukolwiek się wydarzyło

— Nawet i mnie?

— O tak, niezawodnie, biedny mój chłopcze... Ah! Fryderyku w jakiż naiwny sposób objawia się wdzięczność jego! Czyby nie można było dać cokolwiek ze starego ubrania naszego Karolka?— Wiesz, Dicku—dodała, widząc że mąż się zgadza— my mamy chłopczyka takiego samego jak ty wzrostu.

— A czy on jada kurczęta?

— Jada.

— Codzień?

— Nie, nie codzień—odpowiedziała z uśmiechem pani Austen.

Szczur zaczynał już być mniej naiwnym i gotów był uwierzyć, iż może się znajdować na świecie chłopiec jego wzrostu, który codziennie jada kurczęta.

Państwo Austen zaprowadzili go do swego mieszkania, gdzie więcej jeszcze cudownych rzeczy miał podziwiać. Dama wzięła go do swoich apartamentów, tam na łachmany jego przymierzają obiecane suknie, a szczur wyjść nie może z podziwu wobec wszystkiego co go otacza: ogromne łóżko mahoniowe, z atłasową kołdrą, śnieżnej białości poduszki przybrane koronkami, wspaniała kotara muszlinowa nad łóżkiem, zawieszona na jedwabnych sznurach, przepyszny dywan na podłodze, po którym tak przyjemnie się stąpa, szafy z lustrzanemi drzwiami, toaleta na w pół z kryształu i złota, obrazy na ścianach, mnóstwo drobiazgów nieznanych mu wcale, cały las kwiatów na balkonie, — a wszystko to w wonnej, upajającej atmosferze. Gdyby Dick słyszał co o zaczarowanych zamkach, byłby teraz pewnym, że dostał się do jednego z takich pałaców. Ale szczur nie wiedział nic o dobrych i złych wróżkach, o czarownikach, o olbrzymach i karłach i o całej tej świecie fantazyjnych postaci, otaczającej zwykle zaczarowane księżniczki i najmłodszych królewiczów. Dla niego jedynym dobrym duchem bywał pijak wychodzący z szynkowni i gubiący po drodze kilka sztuk miedzianej monety. Olśniony szczur tym nadnaturalnym dla niego przepychem, zwracał w około trwożliwe spojrzenia i nie śmiał się ruszyć z miejsca, widząc obdartą swą postać wielokrotnie odbitą w zwierciadlanych szafach.

— Czy mogę zaraz się przebrać — odezwał się nareszcie, kiedy dama wybrała już dwa całkowite garnitury z garderoby małego Karolka.

— Lepiej będzie zaczekać do jutra—odrzekła dama.—Przyjdź o dziewiątej rano, a zobaczymy, może się da co zrobić dla ciebie.

Dick z przykrością wykonał rozkaz. Opuścił pałac z pakietem sukien pod pachą i z pół dolarem w kieszeni. Zaledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, odżyła w nim dawna nieufność i ile sił mu starczyło, zaczął uciekać przez ulicę.

Przed szynkownią narożną stał właśnie policyant i rozmawiał poufale z kilku znajomymi złodziejami.

Aby odszukać i schwycić złodzieja, najlepszym ajentem policyjnym jest drugi złodziej. Zasada ta, podobnież jak w innych miastach, praktykowaną jest w policyjnych sprawach Nowego Orleanu; pomimo to, schwytany złodziej należy tam do rzadkości, stróże bowiem bezpieczeństwa publicznego, używani są po większej częśct przez polityków, którym zawdzięczają swe posady, do rekrutowania niezawisłych wyborców i tym podobnych politycznych usług. Stojący przed szynkownią policyant, działał właśnie w takim duchu, w interesie swego protektora, urządzając awanturę, jaka miała wybuchnąć tej nocy, w jednym z klubów przeciwnego stronnictwa. Ugościł hojnie wódką kilkunastu łotrów i sam przy tej okazyi wypił nie wiem już ile butelek.

Rozogniony wysokiem pojęciem o ważności swojego zadania (i wódką), spostrzega naszego szczura wymykającego się z pałacu pana Austen, z zawiniątkiem pod pachą.

— Oho! — pomyślał — dobra jakaś zwierzyna! — Złodziej! schwytajcie złodzieja! — zaczął na cały głos wołać.

I pobiegł za uciekającym, strzelając z rewolweru.

Pierwsza kula dosięgła młodą mulatkę, idącą przez ulicę o dwieście kroków z Dickem; druga wpadła oknem pierwszego piętra i rozbiła zwierciadło. Mulatka wydaje przeraźliwe krzyki, właściciel zwierciadła objawia gniew swój strasznemi przekleństwami. Policyanci (w Now. Orlean.) mają nieodmienny zwyczaj strzelania do uciekających przed nimi ludźmi, chociażby to działo się w najludniejszej i najbardziej ożywionej części miasta.

Nasz szczur nie wiedząc o tym fakcie, iż policjant (nowoorleański) nigdy nie trafia osoby do której celuje, za drugim chybionym strzałem poddał się dobrowolnie i odprowadzono go z tryumfem do najbliższego posterunku. (Dok. n.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

(Ciąg dalszy.)

Sztuki piękne na wystawie paryzkiej.

II.

Szczegółowy nasz przegląd oddziałów rozpoczniemy od Francyi i Niemiec, jako od dwóch narodów, najwyżej pod względem sztuki malarskiej stojących w dzisiejszej Europie.

Powiedzieliśmy powyżej, że wogóle tegoroczna wystawa pod względem sztuki zawiodła nasze nadzieje. Zarzut ten stosuje się właśnie przedewszystkiem do tych dwóch narodów, a może nawet wyłącznie do nich. Po nich bowiem spodziewaliśmy się najwięcej, a one natomiast najmniej nam daly *nowej* estetycznej karmi. Widocznie za często powtarzają się wystawy, zanadto krótkie są między niemi przestanki, aby ludzkość mogła się natchnąć nowemi myślami. Jeśli przemysł może z tego tytułu skargi wywodzić, to o ileż bardziej sztuka, ona, który musi co roku przystrajać się w nowe szaty i pojawiać się w *salonach*, które teraz za przykładem Paryża weszły tak w modę, że urządzane bywają niemal już w prowincyonalnych miastach.

A tak *salony* te jak i międzynarodowe wystawy sztuki inny miały cel w zasadzie, a inny osiągnęły w praktyce. W zasadzie służyć miały do wykształcenia gustu publiczności przez roztoczenie przed nią dzieł wyborowych, prawdziwych utworów piękna; w praktyce stały się natomiast targowicą, ułatwiającą artystom sprzedaż ich towaru. Tak jak handlarz i przemysłowiec, tak też i artysta-malarz spieszy dzisiaj na swój jarmark z gotowym towarem w przeświadczeniu, że gdy raz, drugi i trzeci na jarmarku nie stanie, to publiczność wkrótce o nim zapomni. Aby ciągle być w modzie, aby co roku czasopisma unieśmiertelniały imię jego w swych łamach, aby to imię stało się chlebem powszednim dla ogółu, trzeba na każdym jarmarku, przezwanym delikatnie *salonem*, rozstawiać sztalugi, i im więcej, tem lepiej, bo przez większą liczbę sztalug snadniej można się „polecić względom P. T. publiczności". A ponieważ w przeciągu roku nie podobna jednej myśli obszernej przyzwoicie opracować; przeto myślom obszernym daje się za wygranę, a bierze się myśli potoczne, banalne, tworzy się z nich dzieła łatwe, anegdotyczne, poziome, ma się ciągle na oku termin otwarcia jarmarku, i goni się sobotnim szychem na ten niedzielny jarmark. „Co się mnie tyczy — powiada Ingres, mistrz pierwszej wody—to uważam doroczne lub wogóle często powtarzające się wystawy sztuki, za zwyczaj nietylko bezużyteczny, nie osiągający swego celu i przeznaczenia, ale nadto nieskończenie szkodliwy. Zabija on sztukę a rozwija rzemiosło, tłumi i wypacza poczucie piękna, a artystów przekształca w rzemieślników, którzy przez chęć zysku lub pragnienie sławy, starają się sprezentować na każdej wystawie z utworami mierzącemi na efekt, bijącemi w oczy swą ekscentrycznością lub dziwactwem. Tym sposobem wystawy nie są świątyniami sztuki, ale literalnie magazynami obrazów, bazarami, w których kupcy i handlarze zajęli miejsce lewitów i kapłanów. Takie jest moje zdanie. Wiem że mnie zakrzyczą, że zdanie to odrzucą; ale niechże przynajmniej świat wie, jak ono brzmi. Oświadczam tedy wbrew wszystkim, że gdybym miał sam jeden protestować przeciw wystawom terminowym, to mimo to będę, dopóki mi życia stanie".

Protest Ingres'a, z taką energią i siłą założony, miał na oku przedewszystkiem salony. Ale czyż teraźniejsze międzynarodowe wystawy, powtarzające się tak często, różnią się czemkolwiek od salonów? Czyż np. galerya francuska na wystawie nie była rodzoną, rodzoniuteńką siostrą salonu, który równocześnie z nią figurował na drugim brzegu Sekwany w *Palais de l'Industrie?* Inne obrazy, ale główne cechy, rysy rodowe tak dodatnie jak i ujemne, były te same i to tak dalece, że dla zbadania charakterystyki szkoły francuskiej, można ją było badać bezwzględnie czy to na polu Marsowem czy też w Pałacu Przemysłu.

Charakterystyka zaś ta da się streścić w następującem: z jednej strony niepospolita wprawa techniczna, z drugiej niesłychane ubóstwo treści. Przypatrując się utworom najznakomitszych malarzy francuskich nie wie się właściwie, czem należy bardziej się zadziwiać, czy rysunkiem cudownym, znakomitą wprawą, niesłychanym zasobem studyów malarska ich, zgłębieniem wszystkich tajemnic kolorytu, wszystkich zagadek perspektywy przestrzennej i powietrznej; czy raczej powszedniością tematów, płytkością kompozycyi, nieraz nawet myśleniem, upośledzającem artystę. Do tego dołącza się coraz wyraźniejsza tendencya działania już to na *zmysły* już to na *nerwy*, to znaczy bądź podniecania chuci zmysłowych, bądź rozdrażniania uczuć humanitarnych widokiem rzezi, mordów, trupow, płynących strumieni krwi etc. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że realistyczny kierunek uszlachetnia się we Francyi. Traci on coraz bardziej owę skrofuliczną ospałość, jaka go charakteryzowała w ostatnich latach cesarstwa, a staje się coraz bardziej zdrowym i jędrnym. Widocznie mu sprzyja świeże i czyste powietrze republiki. Traci on także równocześnie owę wybujałośc realistyczną, która za czasów cesarstwa rozwijała się wspólnie ze skrofulizmem. Szkoła Courbetowska upada, to fakt, jakkolwiek Zola mniema, że ona jest malarstwem przyszłości, a Courbet Wagnerem plastyki. Impresyonistów nie wielu figurowało na wystawie, a ś. p. ich mistrza Courbeta zaledwie jeden znajdował się obraz i to do tego *marynarka*.

Natomiast *religijne* malarstwo podniosło się nieco i np. lepiej było reprezentowane na paryskiej wystawie niż na wiedeńskiej. Zawsze jednak gdy mowa o teraźniejszem religijnem malarstwie, trzeba pamiętać, że opiera się ono na współczesnych religijnych uczuciach, a więc czysto realnych, czysto ludzkich, w humanitaryzmie a nie w ascetycznej kontemplacyi źródło swe czerpiących i dla tego zdrowych. Tak właśnie pojmuje religijne malarstwo Bouguereau i jest bez zaprzeczenia pierwszym nietylko wśród francuskich, ale wogóle wśród wszystkich religijnych malarzy całego świata. Jego *Święta Rodzina* jest niezaprzeczenie arcydziełem. Obraz ten przedstawia *) Matkę Boską siedzącą na przepysznym białym marmurowym tronie, ozdobnym w złotą i rożnowzorzystą mozaikę. Na kolanach u niej siedzący cudowny dzieciak, Jezus Chrystus, przechyla się i z całą naturalną dziecinną serdecznością obejmuje i całuje mocno i głośno — jak to właśnie tylko dzieci umieją — Jana Chrzciciela. Niezawodnie ta prawda, to tętno czysto ludzkie bijące z tego obrazu, nie podoba się amatorom utworów wysmażonych w ascetyzmie i podanych z syllabusową przyprawą. Ale to trudno, katolickie malarstwo nie kwitnie, a właściwe religijne nie ma nic z katolicyzmem wspólnego. Równie znakomity religijny obraz tego samego mistrza jest *Vierge consolatrice*. Przed Madonną pada na kolana cudownie piękna kobieta z nieopisanym wyrazem bolu w całej swej postawie. Madonna przytula ją do siebie i wznosi błagalne oczy ku niebu, pełne łez i prośby o iskrę życia dla dziecka, które u jej stóp leży nieżywe. I naprawdę można uwierzyć, że prośbie takiej zadość uczyni najsurowszy Jehowa. Trzeci jego obraz równorzędnej siły i potęgi, ale już nie kościelnego pokroju, jest *La Charité*. Matka miłosierdzia przytula do siebie sieroty. Troje dzieciaków wdrapało się na jej kolana i w malowniczej grupie tuli się do jej piersi i twarzy; dwoje zaś przycupnęło u jej nóg. Tych dwoje są takiem arcydziełem, że malarz, któryby nic więcej nie stworzył nad parę tych dzieci, jużby stanął w rzędzie pierwszorzędnych współczesnych mistrzów. Jedno z nich o czarnych kędziorkach, silne i zdrowe, czuje w sobie tyle energii, tyle amerykańskiego *self-help* że nie wiele się troszczy o swą socyalną pozycyą. Rade, że znalazło opiekę, oddaje się przeto zabawie, a właściwie czytaniu. I tutaj malarz złożył świadectwo, że znakomicie umie obserwować dzieci. Oddał on bowiem świetnie tę dążność naśladowania osób starszych, jaka tak charakterystycznie u dzieci przebija. Jego brunecik czyta, ale właśnie w ten sposób, w jaki to dwu lub trzyletnie dzieci czytają, kiedy nie znając liter naśladują zewnętrzną stronę procesu czytania, dostrzeganego przez nie u osób starszych. Dzieciak ten widział, że osoby dorosłe trzymają książkę przed sobą, patrzą na nią i coś głośno mówią; więc i on to samo robi, wodzi paluszkiem wzdłuż i w szerz po książce, a tymczasem papla sobie niestworzone historye. Natomiast towarzyszek jego w niedoli, o jasnych blond włosach, przycupnął, przytulił się i zdradza całą swą postawą oraz nieopisaną boleścią przebijającą z twarzy, jak dalece czuje się opuszczonym i osamotnionym. Dziecię to nie płacze, bo w niem niedola i obawa łzy tłumi, a jednak czuć, że ono dałoby sobie folgę, rozpłakałoby się za wszystkie czasy ciepłemi, z serca płynącemi łzami, i ulżyłoby tym sposobem sobie, gdyby wiedziało, że to wolno. Nieraz długo mu się przypatrywałem i zdawało mi się, że dziecko nabierało do mnie wiary i ufności; z oblicza jego ustępowała obawa, a pozostawała tylko głęboka boleść na tle rozumnej świadomości swego sieroctwa. Oczka napełniały się łzami i już, już przelać się miały; wtedy uciekałem, bo to byłoby nad siły widzieć go płaczącym.

Oprócz tych trzech obrazów wystawił Bouguereau jeszcze dziewięć innych, a w tej liczbie jedno płótno, w którem złożył dowód, że i nad nagiem ciałem odbywał sumienne studya. Ogólną charakterystyką jego koncepcyi, jest nieskończenie przyjemny, prawdziwie anielski typ twarzy kobiecych. Patrząc na jego madonny mimowolnie Carlo Dolce przychodzi na myśl. Zarzucić mu tylko można brak rozmaitości w tym typie; jedna i ta sama twarz z małemi odmianami ciągle się powta-

*) Żywiąc przekonanie, że opisywanie treści obrazów w takim tylko razie może się na coś przydać, kiedy opis malowniczością swoją dorównywa plastyce obrazu — wyznajemy otwarcie, iż nie mamy odwagi wchodzić na niebezpieczną i dla niejednego recenzenta karkołomną drogę zaznajomiania czytelników inwentarzowym sposobem i stylem z utworami sztuki. Jednakże czasami, dodając sobie otuchy, robić będziemy wyjątki — wtedy mianowicie, kiedy treść obrazu albo potrzebna będzie do charakteryzowania kierunku malarza, albo prostotą swoją nie wystawi na próbę pióra naszego.

rza. Odznacza się on także nieskończenie regularnym, pełnym, jędrnym i prawidłowym rysunkiem. Za to ujemną stroną jego obrazów jest nieco chłodny koloryt, nieco mdły i bezsilny, jakkolwiek zawsze czysty i harmonijny.

Obok Bouguereau staje jako religijny malarz druga znakomitość tegoczesnej francuskiej szkoły, p. Bonnat. Wśród 16 obrazów wystawionych przez niego, jeden tylko należy do kategoryi religijnych. Jest to Chrystus rozpięty na krzyżu. Obraz ten kiedy się pojawił pierwszy raz w salonie 1874 roku wywołał niesłychaną wrzawę. Ogólnie oświadczono, że nikt jeszcze dotąd nie potrafił tak prawdziwie, a raczej z taką realną dokładnością przenieść na płótno ciało trupa. I rzeczywiście Bonnat dokazał pod tym względem sztuki. Jego trup jest tak prawdziwy, tak w każdym muskule, w każdym członku jest trupi, że wydaje się iż wprost przyniesiony został ze szpitalnej kostnicy. Ale Chrystusa w tym obrazie nie ma. Realizm zabił tu sztukę, artystyczne naśladownictwo przyrody zabiło religijną myśl autora.

Za to Bonnat celuje w innych gałęziach malarstwa, w tych przedewszystkiem, gdzie koncepować niewiele potrzeba, a gdzie natomiast zużytkować on może niepospolite zasoby swej techniki. *W portrecie* jest on nieporównany i jednym z pierwszych, jeżeli nie najpierwszym portrecistą całej Europy. Na wystawie znajdowało się ośm jego portretów, a w tej liczbie ów sławny, spopularyzowany przez pisma ilustrowane i w tysiącznych fotografiach portret Thiersa, i portret słynnej aktorki Mme Pasca, który był jedną z pierwszych jego prób na polu *portretystyki*, a wystawiony w salonie 1874, obok owego Chrystusa, odrazu uczynił Bonnata modnym portrecistą wszystkich znakomitości paryskich. Za to kościoły nie bardzo spieszyły się z obstalunkami obrazów religijnych. — W rodzajowem malarstwie Bonnat także celuje, ale jego *genre* nie ma nic wspólnego z tym tak swojskim, tak głęboko psychicznym *genrem* niemieckich malarzy. Jego *Scherzo*, *Tenerezza*, *Non piangere*, są to portretowe arcydzieła ludowych typów włoskich w rodzajowej oprawie. Ogólną charakterystyką Bonnata jest to, że jeżeli pod względem koncepcyi nie sięga tak wysoko jak Bouguereau, to jednak dorównywa mu w rysunku a przewyższa w sile i bogactwie kolorytu.

Cabanel jest trzecim z kolei w plejadzie wielkich mistrzów tegoczesnej szkoły francuskiej. Wystawił on jeden obraz religijny, dwa historyczne i kilka portretów. Jego religijny obraz, przedstawiający *św. Ludwika* w trzech fazach życia i dla tego podzielony na trzy oddziały, jest największym na wystawie... pod względem rozmiarów. Religijnego zaś w nim jest chyba tylko to, że przedstawia epizody z życia *świętego* i że przeznaczony jest do kościoła św. Genowefy, znanego pospoliciej pod nazwą Panteonu. Kompozycya jest dobrze poczęta czy obmyślaną, rysunek nadzwyczajnie czysty, ale koloryt tak mdły i wyblakowany, a nadto chłód taki wieje z tego płótna, że wątpić można, aby ono, gdy zostanie zawieszone na ścianie kościelnej, potrafiło wzbudzić w wiernych humanitarne uczucia. O wiele już wyżej stoją oba Cabanela histor. obrazy, *Tamara i Absalon*, i *Śmierć Francesca de Rimini i Paolo Malatesta*. Jest w nich siła, jest zapał i życie, koloryt bogatszy, rysunek w nich równie poprawny, a jednak przecie jest coś, co czyni, że obrazy te nie ciągną do siebie. Cabanel jest znakomitym stylistą, ale maluje zimno. Był on za cesarstwa i jest teraz *oficyalnym* malarzem rządu francuskiego. Owoż urzędowe malarstwo, produkujące na dany z góry temat, zamykające fantazyą artysty w ciasne ramy wytkniętych przez senatorskie komisye przepisów i wzkazówek, tworzące tę tak zwaną *l'histoire comprimée*, musi wyziębić serce artysty, a przyodziawszy go w urzędowy mundur, zabić w nim malarza, a stworzyć z niego konsyliarza od malarstwa. Wszelako jako portrecista jest on bardzo w Paryżu ceniony i przed Bonnatem był on jedynie w modzie wielkiego świata nadsekwańskiej stolicy.

Do trzech wymienionych artystów musimy jeszcze dodać Gérôme'a i Meissonier'a, a będziemy mieli całą grupę pierwszorzędnych francuskich malarzy. O pierwszym, ztego co było na wystawie, niepodobna sądu wydać, albowiem wśród dziesięciu jego płócien nie było ani jednego obrazu z życia starożytnych Rzymian, a przecież w tym właśnie rodzaju malarstwa Gérôme jest nieporównany i niezaprzeczenie wyżej stoi od Siemiradzkiego. Z tego zaś co on wystawił, największe wrażenie wywołało duże płótno, p. t. *L'Eminence grise*. Bohaterem tego obrazu jest znany zausznik kardynała Richelieu *père Joseph*, który zwykł był mawiać o sobie; *„je renverse tout, je fauche tout, je couvre tout de ma robe noire,“* a który do tego *„quand les courtisans le saluaient, faisait semblant de lire son bréviaire et de ne pas les apercevoir.“* Właśnie taki moment z życia tego intryganta w habicie, artysta pędzlem uwiecznił. Grupa dworzan i szlachty, czekających na audiencyą w sieni i do koła schodów kłania się tak uniżenie przed faworytem kardynała, że niemal głową proch z ziemi zmiata. Faworyt zaś pogrążony w brewiarzu, z miną świętoszka, wydaje się jak gdyby niewiedzieć jak zajęty był modlitwą; tymczasem jednak z po za brewiarza zerka na wsze strony, i bada, ażali wszyscy hołd mu należnyoddają. Oprócz zręcznie uchwyconych momentów psychologicznych w oddaniu fizyognomij dworzan i faworyta, obraz ten dostarczył artyście pola do popisu w wykonaniu atłasów, jedwabiów, aksamitów, broni etc. A że wszystko to było opracowane świetnie, z niepospolitą techniką i wprawą, tego zdaje się dodawać nie potrzeba, gdy mowa o Gérôme'ie.

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE „TYGODNIA.“

Genewa, 29. listopada, 1878 r.

(Genewa i jej dzisiejsze znaczenie. Ogólny pogląd na miasto. Porażka stronnictwa radykalno-liberalnego. Agitacya wyborcza. James Fazy. Wycieczki reakcyjne przeciwko wychodźcom politycznym w Szwajcaryi. Opinia w tym względzie światłych Genewczyków. Jenerał Wróblewski i napaść J. Simona. Śmierć jenerała Mierosławskiego).

Na południowo zachodnim brzegu jeziora Genewskiego leży mały kraik (cokolwiek więcej niż 5 mil kwadratowych), otoczony niemal dokoła Francyą; przedstawia on dzisiaj najliberalniejszą polityczną organizacyą w całej Europie. Jest to najmniejszy z kantonów szwajcarskich, którego większa część ludności skupia się w mieście Genewie. Samo miasto zaledwie liczy 50000 ludności, a więc o połowę co do zaludnienia jest mniejsze od Lwowa.

Swoboda, panująca w kantonie, i ludzkość administracyi municypalnej uczyniły to, że Genewa stała się dzisiaj głównym przytułkiem wszystkich prześladowanych o radykalne przekonania polityczne i społeczne. Mając w Europie do wyboru tylko Anglię i Szwajcaryą, a zwłaszcza kanton genewski, wszyscy chętniej osiedlają się w tym ostatnim, nietylko dla tego, że jest punktem centralnym Europy, ale i dla tego, że lżej oddycha się w nim — jak się wyraził jenerał Wróblewski. Nie ma tu tej nędzy, która często w Anglii razi boleśnie oko i serce; nie widać tu tej uniżoności, jaką na wyspach brytańskich robotnik i człowiek ubogi objawiają względem arystokracyi i bogactwa. Republikanizm przeniknął głęboko w obyczaje i nawyknienia ludu. Obok grzeczności i uczynności francuskiej cechuje lud tutejszy pewna powaga i wyraz uczucia godności, który — zdaje się — z dumą mówić: civis sum:

Miasto wydaje się rozleglejsze i wspanialsze od Lwowa. Domami swemi przypomina nieco Paryż. Wszakże wspaniałych publicznych gmachów nie posiada, ale za to sama przyroda hojnie uposażyła je w piękności. Jakiż to prześliczny npd. widok z mostu, zwanego Pont du Mont-Blanc na jedną i na drugą stronę, a zwłaszcza na piękne pobrzeża (Grand-Quai, Quai des Bergues i Quai du Mont-Blanc), lśniące się zwierciadło jeziora i podnoszące się dokoła niego pasma gór! Przez sam środek miasta płynie wartki Rodan i w gwałtowne chwyta ramiona Arwę, która przypomniała mnie Wilię czystością wód i pięknemi brzegami, a która oddziela miasto od sąsiedniego z nim miasteczka Carouge.

Genewa rozpada się na kilka części miejskich, które są wcale do siebie niepodobne. Mamy tu stare i nowe miasto, dzielnicę arystokratyczną i robotniczą, pełne hotelów i magazynów wspaniałych cyrkuły, skromne zakątki małomiejskie, forum publicum z pięknemi gmachami i wiejskie zacisza. Najwięcej przypomina wielkie miasto Genewa w swej części, położonej po obu brzegach Rodanu od wyspy do mostu Mont-Blanc. Tu przebiegają szerokie ulice z pięknemi gmachami i wystawnemi sklepami. Najwięcej ruchu, którym jednak wogóle miasto nie odznacza się, widać na ulicach, przez które przechodzi kolej konna żelazna, zdążająca do Carouge, a które łukiem zaginają się dokoła lewobrzeżnego miasta. W środku zwężonej części łuku leży stare miasto, ciasno zabudowane, z pnącemi się niemiłosiernie ku górze krętemi ulicami. Zabytek to średniowieczny. Jedna z wąskich, ciemnych i cuchnących uliczek, która doń wprowadza, nosi nazwę ulicy piekielnej (rue d'Enfer) i naprawdę zasługuje na tę. W starem to mieście mieszkał Kalwin i urodził się Jan Jakób Rousseau. Tam są pomniki z odległej przeszłości, jak katedra św. Piotra, która stanęła na miejscu pogańskiej świątyni Apolina, i ratusz w ciężkim florenckim stylu. Jakby cięciwę łuku stanowi Boulevard Helvetique, który z przyległemi ulicami tworzy dzielnicę arystokratyczno plutokratyczną. Szerokie ulice, wysokie, wspaniałe domy z ogródkami i tarasami, piękne chodniki, brak wszelkich sklepów świadczą, że żyją tu ludzie bogaci i zupełnie swobodni o troskę dnia jutrzejszego. W tem St. Germain mieszkają przeważnie bogaci cudzoziemcy, a głównie Anglicy i Rosyanie, tych ostatnich jednak liczba podobno w tym roku znacznie się zmniejszyła z powodu nader niskiego kursu rubli. Anglicy bogaci chętnie tu zamieszkują i kształcą swoje dzieci. Widocznie i im lżej się oddycha w tem dostatniem mieście, aniżeli w ojczystym kraju, gdzie widok wynędzniałego i obszarpanego proletaryatu musi wzbudzać pewną trwogę w sumieniu brytańskich nabobów. Genewa ma i własnych milionerów, których liczą tu do 80. Bogactwa te jednak nie rzucają się w oczy ani przepychem powozów, ani hałaśliwemi uczty. Samo używanie przykryło się skromnym republikanckim płaszczem. Arystokratyczna dzielnica jest nawet zanadto spokojna. Cisza i pustki w niej panują, jakby w mieście umarłych. Zwłaszcza wieczorną porą wydaje się olbrzymim cmentarzem. Wschodnio-południową część miasta, przyległą do Arwy, stanowi Plainpalais wraz z przedmieściem tejże nazwy. Miejska część Plainpalais mieści w sobie: teatr, uniwersytet, konserwatoryum muzyczne, pałac wyborczy i t. d. Jest to jedna z najnowszych części miasta. Wielki tu ruch budowniczy: rosną gmachy wspaniałe, brukują się ulice, asfaltują chodniki. Przedmieście Plainpalais i St. Gervais na prawym brzegu Rodanu zamieszkałe są głównie przez klasę robotniczą.

W życiu politycznem kantonu genewskiego w dwu ostatnich miesiącach ważne zaszły wypadki. Stronnictwo radykalno-liberalne, które trzymało dotąd ster państwowy, poniosło potrójną porażkę: 6 i 27 października i 10. listopada. Nie tyle uległo ono wskutek wzmożenia się przeciwnych stronnictw (klerykalnego i demokratycznego), ile wskutek przecenienia siły swojej i popełnionych błędów. Mając większość w Wielkiej radzie (Grand Conseil) i zajmując krzesło

w Radzie stanu (Conseil d'Etat), rozpoczęło niepotrzebną walkę z duchowieństwem katolickiem a wbrew nawet obietnicy, danej stronnictwu robotniczemu — uparcie wstrzymało się od podnoszenia kwestyi polityczno-społecznych. Władza upoiła stojących u steru radykałów, i wydało się im wreszcie, że nos istnieje dla tabakiery a nie odwrotnie. Naród więc postanowił dać im nauczkę. Nadto, urządziwszy w zeszłym roku warstaty narodowe (chantiers nationaux) dla potrzebujących pracy—z powodu zawieszenia robót w wielu przedsiębiorstwach, radykalno-liberalne stronnictwo wadliwie w nich gospodarowało a następnie wszystko to starało się zwalić na próżniactwo i niesłowność robotników. Oczywista, obraziło tem na siebie klasę pracującą. Wreszcie, przedstawiając narodowi 6. października częściową rewizyę istniejącej konstytucyi, więcej myślało o powiększeniu swego wpływu, aniżeli o rzeczywistem polepszeniu ustroju politycznego.

Głosowanie, które odbyło się 6. października, było straszną niespodzianką dla rządzącego stronnictwa. Wnioski, przedstawione ludowi przez Wielką radę, zostały odrzucone 8758 głosami na 11351 głosujących. Porażka to była ciężka, jakiej nie widziano jeszcze dotąd w Genewie. Ponowiła się ona 27. października przy wyborach czterech posłów z kantonu genewskiego do Rady federalnej. Radykalni kandydaci upadli mniejszością 2600 głosów. Nawet nie zdołał utrzymać się Carteret, rodzaj genewskiego Gambety. Wybory do zgromadzenia prawodawczego czyli tak zwanej Wielkiej rady, które odbyły się 10. listopada, znowu wypadły na niekorzyść radykalno-liberalnego stronnictwa. Pytano więc, jak postąpi sobie wobec tych wypadków władza wykonawcza, Rada stanu — czy poda się do dymisyi, czy też zatrzyma kierownictwo państwowe i nadal w swem ręku. Rada stanu, złożona z siedmiu członków, stanowi ministeryum. Skoro więc nie ma za sobą większości w sejmie czyli Wielkiej radzie, podług teoryi konstytucyjnej — powinna byłaby się podać do dymisyi. Inaczej jednak zdecydowała w tej sprawie i woli zaczekać do rezultatu przyszłorocznych wyborów.

Agitacya wyborcza odbywa się tu bardzo spokojnie. Nic podobnego do owych burzliwych scen, które się wydarzają podczas wyborów w Anglii i Węgrzech O przekupstwie nic tu także nie słychać. Wszyscy powiadają, że niezależność sądu przejawia się u wyborców w wysokim stopniu.

W ogóle miasto nie odznacza się wielką ruchliwością. Na pogrzebie Jamesa Fazy'ego, który w znacznej mierze przyczynił się do przeistoczenia samego miasta i konstytucyi kantonalnej — pomimo dnia pięknego mniejsze widziałem tłumy, aniżelim się spodziewał. Pogrzeb Seweryna Goszczyńskiego we Lwowie, odbył się przy liczniejszym udziale ludu i był nawet uroczystszy, pomimo że Fazy'ego chowano kosztem państwa. Wprawdzie brak duchowieństwa, świec, śpiewów przy pogrzebie, znacznej pozbawiał go pompy.

Jan Jakób czyli zwykle zwany James Fazy, urodził się 12 maja 1794 r. w Genewie. Porzuciwszy zegarmistrzowstwo, którego się uczył, młodym jeszcze chłopakiem udał się do Paryża, gdzie wkrótce z całym zapałem oddał się sprawie republikańskiej. Został publicystą-dziennikarzem i spiskowcem-karbonaryuszem. W tym charakterze utrzymywał ciągłe stosunki pomiędzy rodzinnem miastem i Paryżem. Po rewolucyi lipcowej osiadł w Genewie i zaczął tu wydawać Journal de Genève, propagując radykalno-republikańskie przekonania. Od 1841 r. utworzyło się nawet w tem mieście radykalne stronnictwo, którego duszą stał się Fazy, i które zmusiło wkrótce rząd do bardzo ważnych zmian w konstytucyi. W 1842 roku zaprowadzono: powszechne głosowanie, swobodę municypalną, prawo petycyj; w 1844 r. sądy przysięgłych. Ustępstwa te czyniono tylko z musu i przy każdej sposobności próbowano wrócić do rządów reakcyjnych. Skutkiem tego nastąpiło krwawe starcie między ludem i stronnictwem konserwatywnem w 1846 r. Zamianowany przez zgromadzenie ludowe, rząd tymczasowy pod prezydencyą James'a Fazy'ego, zajął się przygotowaniem nowej konstytucyi, którą lud znaczną większością głosów (5541 przeciwko 3086) przyjął. Fazy wybrany został prezydentem i aż do 1863 r. z małemi przerwami, piastował tę godność. Kanton i miasto bardzo wiele mu zawdzięczają. Z jego inicyatywy powstały liczne naukowe, dobroczynne i ekonomiczne instytucye. On to przemógł, że zburzono fortyfikacye, otaczające miasto, i pozwolono mu rozróść się do dzisiejszych rozmiarów. Robotnicy dobrze pamiętają, że podczas przesilenia przemysłowego w 1848 i 49 r., nie zważając na krzyki i wrzaski, na własną odpowiedzialność otworzył roboty publiczne, i wówczas to pobudowano wspaniałe pobrzeża i liczne gmachy użytku publicznego. Wychodźcy polityczni także przechowują w pamięci, że Fazy zawsze popierał prawo ich do swobodnego pobytu w Genewie. To też Francuzi za trumną jego nieśli wspaniały wieniec, w którym barwy narodowe francuskie połączono z godłami genewskiemi.

Szwajcaryę w ostatnich czasach nieraz napastowano z powodu swobody, jakiej tu doznają polityczni wychodźcy wszelkich barw. Teraz znowu rozpoczęła się z tego powodu kampania reakcyjnych i ministeryalnych dzienników hiszpańskich, włoskich i niemieckich. Zwłaszcza hiszpańskie dzienniki, które dotąd jeszcze nie mogą strawić mowy Zorrilli, wypowiedzianej tu na publicznym bankiecie, skorzystały ze sposobności zamachów, wykonanych przez Monkasi'ego i Passamente, i dalejże podjudzać rządy europejskie przeciwko Szwajcaryi a zwłaszcza kantonowi genewskiemu. Dziennikarstwo tutejsze dało dobrą odprawę tym reakcyjnym napastowaniom. *Journal de Genève*, organ liberalno-katolickiego stronnictwa, przypomniało krzykaczom, że losy są zmienne, i że dzisiejsi prześladowcy mogą być kiedyś prześladowanymi i szukać przytułku w Szwajcaryi. *Le Genèvois*, organ radykalnego stronnictwa, z całą stanowczością oświadcza, że prawo politycznych wychodźców osiedlać się swobodnie w Genewie uważa za ważny warunek wolności republikańskiej. *Corillon* zaś, dziennik humorystyczny, pisze, że otrzymał depeszę z Madrytu, jakoby król Alfons mocno się rozgniewał na prośby dzienników hiszpańskich, zapowiadające o odwołaniu jego reprezentantów z Berna w razie, jeźliby Szwajcarya dawała i nadal przytułek anarchistom. „Król Alfons — pisze *Carillon* — który wcale nie jest pozbawiony rozumu, miał wykrzyknąć: Dzięki zbytecznej gorliwości moich dziennikarzy — w razie jakich wypadków — nie mógłbym szukać schronienia w jedynym kraju, gdzie czułbym się wolny i spokojny.“

Że opinia światłych Genewczyków nie stracha się radykalistów europejskich, najlepszym dowodem, że instytut genewski na posiedzeniu 18 listopada mianował członkami swymi: Ruiz'a Zorrillę, jenerała Walerego Wróblewskiego i Artura Arnould'a, wychodźcy z czasów komuny i autora dziełka p. t. „L'état et la révolution,“ o którem napiszę w jednym z późniejszych listów.

O jenerała Wróblewskiego stoczyła się w zeszłym miesiącu walka w dziennikach francuskich. Jules Simon wydał niedawno książkę p. t. „*Le gouvernement de M. Thiers*,“ w której powiada, że Wróblewski przed powstaniem 1863 r. był prostym strażnikiem leśnym i nędznym wędrownym grajkiem. Pisma republikańskie francuskie wykazały rozmyślność i złośliwość tego fałszu. *Le Progrès du Léman*, organ tutejszej kolonii francuskiej, poświęcił tej sprawie wstępny artykuł p. t.: „Le géneral Wróblewski jugé par l'historien Jules Simon.“ Sprostowawszy rozmyślne fałsze Simona i opowiedziawszy przeszłość jenerała Wróblewskiego, francuski dziennik zatrzymuje się dłużej nad obroną komuny i takie daje świadectwo właściwemu jej obrońcy:

„Światły jego umysł, którego dał dowody w radach, kiedy go wzywano na zebraniu sztabu jeneralnego, i męstwo, z jakiem staczał walki dokoła fortyfikacyj, objawiły się w Paryżu z taką samą świetnością jak i na polach bitew polskich. Jenerał Wróblewski dowiódł, że jest mężem wojskowym w całem znaczeniu tego słowa: umie bowiem praktykę łączyć z teoryą, działanie energiczne ze śmiałym pomysłem.

„Kto nie pamięta heroicznej obrony Butte-aux-Cailles?

„Delescluze i Rossel nieraz wypowiadali swoje uwielbienie dla młodego dowódzcy, którego nazwisko stało się tak popularnem w szeregach gwardyi narodowej.

„Wobec życia, tak pełnego świetnych czynów, co mogą sprawić kłamstwa i oszczerstwa Juliusza Simona?

„Ażali eksminister rzeczypospolitej francuskiej, który pozwolił *haniebnie* wypędzić siebie „jak lokaja“ człowiekowi prowadzącemu Francyę do 16 maja, mógłby przedstawić swemu krajowi takie dowody miłości i poświęcenia, jakie dał Wróblewski swojej Ojczyźnie?

„Oddawna znamy, jaką jest bezinteresowność patryotyczna p. Juliusza Simona, a ostatnie jego dzieło wzmocniło jeszcze bardziej w tym względzie nasze przekonanie.“

List mój kończę smutną wiadomością o śmierci jenerała Mierosławskiego w Paryżu, którą to wiadomość wyczytałem w zeszłym tygodniu we francuskich dziennikach.

B. L.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 12. grudnia.

W ubiegłym tygodniu, na kolporterach i trafikantkach lwowskich sprawdziły się słowa pisma świętego, o owych ptakach i liliach polnych, które to ani sieją ani orzą, a ojciec niebieski je żywi. Wprawdzie Opatrzność boska nie działa tu w ten dotykalny sposób jak ją na obrazach malują, że jedną ręką sypie ziarna, a drugą spuszcza bochenki chleba — ale spuściwszy śnieg i mróz na ziemię, jednocześnie natchnęła pana Abrahamowicza do napisania dwóch listów otwartych do p. Hausnera, i rozdania ich do dyspozycyi tym szanownym roznosicielom światła publicznego. Listy te, musimy prawdę wyznać, zachwyciły wszystkich..... kolporterów i trafikantki sprowadzając im do kieszeni tyle pięciocentówek, że za nie zaopatrzyli się w buty na zimę i dotąd błogosławią tę rękę, która je napisała — „Mój drogi panie — mówiła mi przed kilku dniami taka sklepowa od tytoniu dama, — żeby też Bóg natchnął jeszcze tego dobrego pana, a on chciał pisać więcej takich listów, przyszłabym może do jakiego zarękawka.“ A zatem pokazuje się, że nie ma tego dobrego coby na lepsze nie wyszło... Za to pan Hausner stracił wiele w opinii, zapowiedziawszy iż więcej na pisma odpowiadać adwersarzowi swemu nie będzie. — Jak można w ten sposób odbierać komuś odwagę do dalszej korespondencyi i skazywać tak obfity zapas sofizmatów na zakwaszenie!

Będąc tak wspaniałomyślną Opatrzność dla kolporterów, okazała się macochą, dla Stowarzyszenia bratniej pomocy słuchaczów uniwersytetu, bo nie chciała natchnąć wykształconej publiczności do pójścia na odczyt Dra Sawickiego o fizyologii i patologii uczuć człowieka w skróceniu... Czy to skrócenie oddziałało deprimująco, czy też publiczność nasza lekceważy wszelkie uczucia, dość że pan Sawicki wykładał swój przedmiot z prawdziwem przejęciem się i głęboką znajomością, przemawiał do bardzo rzadko rozlokowanych słuchaczów. — Już to w ogóle zauważaliśmy, że wszystkie te odczyty we Lwowie zaczynają się przejadać i ten uważa się już za udały, jeżeli kilkadziesiąt osób powiększej części znajomych prelegenta da się zgromadzić... Wartoby, zastanowić się bliżej nad takim stanem rzeczy, i wysadzić komisyą któraby wyśledziła gdzie leży przyczyna podobnej obojętności... Na mój rozum kronikarski, to tu przedewszystkiem rozwiązać trzeba to zadanie: czy tabakiera dla nosa, czy nos dla tabakiery, i jeżeli się pokaże iż prelegent powinien się zastósować do gustu i potrzeb publiczności — to trzeba cokolwiek posondować w tym guście i dać odczyt w ten sposób, jak to robi Dyrekcya teatru ostrzegając o przedstawieniach Lola, lub tłumacz Boccaciusza w swoim Dekameronie — że będzie przystępny dla dorosłych tylko słuchaczy. Wszelkie takie Fizyolgie

nawet uczuć, dzisiaj już nie są w modzie, ale taki naprzykład temat: „o pozyskiwaniu serc niewieścich z bogatym posagiem, lub naodwrót serc męzkich z bogatą pensyą i wspaniałym wąsem"—znalazłby dla samej ciekawości mnóstwo amatorów. A gdyby jeszcze ktoś odważył się poruszyć niewyczerpany temat prawdopodobnego trafienia terna, — magistracka sala nie mogłaby pomieścić słuchaczy. — A zatem wina prelegentów, że moralizują, analizują i nudzą, — żeby wreszcie dozwolono występować oponentom jak przy doktoryzacyi—byłaby rozmaitość jaka taka.

Za to koncerta publiczne i teatra amatorskie w kasynie mieszczańskiem daleko lepiej prosperują. Ostatni koncert Towarzystwa muzycznego pod dyrekcyą pana Mikulego w sali Narodnego domu, sprowadził bardzo licznych amatorów prawdziwie wyższej muzyki. Szczególniej udał się chór damski w kompozycyi Volkmar-Liesringa pod tytułem: „O filii et filiae" starej jak świat, lecz na całe wieki zawsze pięknej i wzniosłej. Pan Szwartz przy wykonaniu Toccaty Bacha na nowych organach roboty pana Śliwińskiego, imponujące wywarł wrażenie, za co publiczność nagrodziła go kilkakrotnie powtarzanemi oklaskami.— Jedno tylko coby się zarzucić dało chórom męzkim przy kompozycyi Liesringa, że odgłos trąb głuszył kompletnie śpiew, wykazując słabą osadę tych chórów. Bądź co bądź koncert ten należy do najświetniejszych w obecnym sezonie, a zdaje się i nie ostatnich.

W Muzeum przemysłowo-technicznem wystawiono na sprzedaż siedmnaście przedmiotów drogiej dla polskiego serca wartości pamiątkowej, jako należące kiedyś do ostatniego polskiego naczelnego wodza Skrzyneckiego. Między temi szabla po królu Stefanie Batorym z roku 1675 ofiarowana przez legię nadwiślańską jenerałowi. Przedmioty te, jakaś litościwa ręka z pomocą pewnego urzędnika sądowego uwolniła ze szponów żydowskich, gdzie zastawione były, i termin zastawu już upłynął. — O ile słyszeliśmy, zgłasza się kilku amatorów do kupna, lecz przedewszystkiem ma pierwszeństwo żyjąca córka po śp. jenerale, która oświadczyła się z chęcią zwrócenia wszelkich kosztów nabycia i zabrania tych rzeczy do siebie... Dzisiejszy właściciel sądzimy nie będzie w takim wypadku robił żadnych trudności, bo za zwrotem wydanych na ten cel 3000 zł. gotów jest odstąpić córce śp. jenerała.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, a z niemi pora odbierania prezentów na gwiazdkę dla dziatwy i starszych. W wystawach sklepowych już odczuwać się daje pewien ruch i prezentacya najpotworniejszych dziwolągów niemieckiego pomysłu, któremi rok rocznie obdzielamy dziatwę naszą kupując te fatałaszki za drogie pieniądze. Narzekamy na brak zajęcia rąk naszego ludu, który czasami nie jest w możności zarobienia na suchy kawałek chleba narzekamy, że nasza młodzież wykształceńsza nie znajduje pola dla zużytkowania swych wiadomości, a pozwalamy, aby takie, jednak wiele wyciągające pieniędzy cacka, sprowadzano z zagranicy. Założenie fabryki dziecinnych zabawek tak wiele kosztować nie może, aby tylko dobrej woli trochę i trochę mniej fałszywego wstydu (naprzykład, że wykwalifikowany technik bierze się do takich drobnostek), a rywalizacya z niemiecką produkcyą jest niezawodna, nawet konkurencya na obce targi możliwa. Pole zbytu do Rossyi mamy tuż pod nosem, i robotnika za bezcen u siebie. Cóż więc brakuje? odwagi, dobrego gustu i przedsiębiorczości zamiast trenów..... W Zakopanem ma być otwartą szkoła rzeźbiarska w przyszłym roku — tam lud jest bardzo zręczny do takiej pracy — zatem miejsce na założenie fabryki gotowe, zkąd dostarczane wyroby mogą już we Lwowie być wykończone. Pomijając korzyści materyalne tego przedsiębiorstwa, które niezawodnie przyniesie i strona, że tak powiemy, moralna wiele na tem zyska, jeżeli się dzieciom zamiast cudaków niemieckich i poliszyneli z błazeńską miną, da lalki i typy nasze swojskie, z któremi bawiące się dzieci oswoją się za młodu i nauczą kochać co nasze polskie i narodowe... Ponieważ Wydział krajowy tak chętnie przykłaka rękę do rozwoju przemysłu domowego, nie wątpimy, że nowo-założonej fabryce zabawek dziecinnych użyczyłby swej opieki, wprowadzając do pewnej okolicy tego rodzaju rzemiosło, mogące zapewnić dochód godziwy ubogim mieszkańcom.

Ksiądz Stojałowski znany wydawca pisemek dla ludu i propagator wieców, coraz więcej rozwija czynność swoją na polu oświaty ludowej. Za jego staraniem zawiązuje się niewiadomo już które z kolei Towarzystwo oświaty ludowej, którego statuta opracowane na wzór statutów tego rodzaju w Księstwie poznańskiem istniejących stowarzyszeń — namiestnictwo zatwierdziło...... Jeżeli tyle bezskutecznych prób robiono z tą oświatą, a starania się nie powiodły napotykając obojętność u możnych konserwatystów naszych, to po znanej energii księdza Stojałowskiego spodziewać się można, że postawi na swojem. Wprawdzie nie zawsze zgodzilibyśmy się z kierunkiem, jaki tej oświacie nadać może ksiądz Stojałowski, jednakże lepiej bądzie, że on coś zrobi, aniżeli żeby nikt nic nie robił... Lud polski jest siłą Polski, a dopóki on nie zrozumie czem jest w tej naszej rozbitej ojczyźnie, dopóty sprawa narodowa nie będzie miała rzeczywistej podstawy wobec dzisiejszych pojęć o żywotności narodów.

W końcu muszę uwiadomić czytelników, że tegoroczny Święty Mikołaj, nie ten z nieba, ale ten co chodzi z konopianą brodą i w papierowym ornacie po domach dla straszenia dzieci — kompletnie jest zniechęcony do dalszych cudownych eksperymentów. W pewnym bowiem domu rezolutna panienka, która jak się pokazało miała czyściutkie sumienie i pacierz odmawiała w poprawnej edycyi, wyzwała na dysputę sędziwego biskupa co do pewnych poprawek w „Ojcze nasz," któremi chciał jej zaimponować. Otóż ze wstydem samego świętego i jego w brudnej koszulinie ubranego anioła pokazało się, że obadwaj nie potrafili bardzo gładko tej powszechnej modlitwy wyrecytować. Ztąd wielki skandal na całej Chorążczyznie, a święty Mikołaj przekonawszy się, że kurczęta teraz mądrzejsze są od samych kur, poprzysiągł więcej nie schodzić na ziemię lwowską.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Konopacki S.* Chronologia dziejów Królestwa Polskiego dla młodego pokolenia ułożona. Edycya druga z poprawą i dodatkami z tegoczesnych autorów czerpanemi. Tom II. 8ka str. 277 i 70. Poznań 1877. Cena dwóch tomów 7·80 ct.

— *Morawski Teodor.* Wskazówka abecadłowa do dziejów narodu polskiego. 8ka str. 269. Poznań 1878. 3·90 ct.

— *Mowy Ludwika Wolskiego i Ottona Hausnera,* miane na dniu 4. i 5. Listopada 1878 w parlamencie austryackiem. Wydanie piąte 8ka str. 31. Lwów 1879. 25 ct.

— *Mowy L. Wolskiego i O. Hausnera,* i głosowanie tychże w Radzie Państwa w Wedniu, ocenione przez jednego z osłów wielkopolskich 8ka str. 23. Lwów 1878. 20 ct.

— *Langie Karol.* Sprawozdanie z wystawy rolniczej i przemysłowej we Lwowie 1877. zeszyt drugi. Ogrodnictwo grupa 6. 8ka str. 38. Lwów 1878. 50 ct.

— *Śpiewnik polski.* Tom I. Zeszyt 2. 8ka, str. od 97 do 192. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1879. 20 ct. Na lepszym papierze 30 ct.

— *Testament Napoleona.* Z teki starego szlachcica odpisał autor „Plotek i prawd". 8ka, str. 80. Lwów 1879. 60 ct.

— *Wilczyński A.* Z pamiętników plotkarza. Obrazki z życia 2 tomy. 8ka, str. 238, i 203. Lwów 1879. 4.20.

— *Zola Emil.* Kartka miłości. Powieść w dwu tomach spolszczyła W. Limanowska. 8ka, str. 252 i 272. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1879. 3 zł.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Strażnica,* tygodnik dla obrony spraw ekonomiczno-społecznych wychodzący we Lwowie zamieścił w Nr. 48 i 49, pośmiertne wspomnienie o jenerale Ludwiku Mierosławskim, napisane z takiem ciepłem i czcią, na jakie ten wielki mąż nieszczęśliwego narodu zasługiwał. Jestto ze wszystkich najdokładniejszy nekrolog Mierosławskiego, zawierający najwięcej i z największą ścisłością podanych faktów.

*** I Warszawa ma swoich Podolskich. „Przegląd katolicki" postawił redakcyę „Bluszczu" pod pręgierzem opinii publicznej, na indeksie prohibicyjnym za umieszczenie bluźnierczego artykułu p. S. K. o Wolterze i Rousseau, domagając się odwołania.

Jak trudno o czyste ziarno—ile to potrzeba napracować się, zanim się go zdobędzie — tak znowu kąkol niesiany pleni się nadzwyczaj bujnie i wytępić go trudno.

*** *Towarzysza pilnych dzieci* wyszedł już z druku ostatni numer za rok bieżący i zawiera: O chłopczyku i o jego drewnianym koniku przez Władysława Bełzę. Dyogenes, przez E. Swobodę. Wigilia Bożego narodzenia. Obrazek z przeszłości, przez Władysławę z Rogozińskich Izdebską. Pozory, obrazek dramatyczny. Józef Bosak-Hauke z portretem. Kukuryku, przez St. Jachowicza. Szczera rada przez Józefa Chmielowskiego. Zagadka.

Jedyne to pisemko dla dzieci w naszej prowincyi polecamy szczególnym względom rodziców, od powiększenia bowiem liczby prenumeratorów zależy dalszy rozwój i ulepszenie pisma. Prenumerata jest nadzwyczaj niska 1 złr. kwartalnie we Lwowie, 1·20 ct. z przesyłką.

*** „Tygodnik illustrowany" zaczął drukować studyum profesora Henryka Struvego pod tytułem „Jan Jakób Rousseau". Filozof genewski widocznie interesuje naszych pisarzy, z których już pp. Chmielowski (w oddzielnej broszurze) i S. K. (w Bluszczu) poświęcili mu obszerne prace.

*** Pan Wacław Nałkowski w Krakowie napisał rozprawę p. t. „O geograficznych błędach, na których opierają się historyozoficzne poglądy profesora Duchińskiego." Rozprawa ta wyjdzie zapewne z pod prasy w Warszawie.

Ciekawiśmy tych błędów.

*** Opuściła prasę broszura A. Białeckiego, prof. uniwersytetu warsz. pod tytułem „O konwencyi genewskiej."

Autor rzecz tę wypowiedział w roku bieżącym na prelekcyi publicznej.

*** Ostatnią pracą Klaudyusza Barnard'a był memoryał, zbijający teoryą Pasteur'a o fermentacyi. Memoryał ten, dotąd w rękopisie, Pasteur streszczał 26go zeszłego miesiąca na posiedzeniu paryskiej akademii medycznej i zbijał wywody zmarłego fizyologa.

*** Paweł Bert, dopełnił w paryskiej akad. nauk 25 z m., swego studyum o promieniach widma, niezbędnych dla życia roślin. Dowodzi on, że kolor czerwony jest niezbędny, że np. pod szkłem zielonem roślina przestaje zyskiwać na wadze, trawi nagromadzone w sobie oszczędności i umiera.

*** „Konrad Wallenrod". Taki ma być tytuł opery Żeleńskiego, do której libretto z poematu

Adama pisze p. Wacław Szymanowski. Niedawno kompozytor włoski Ponchielli napisał operę „I Lituani“ do libretta osnutego na tym samym poemacie.

*** „Wiara, nadzieja i miłość“. Pod godłem tych trzech cnót teologicznych ukazał się w księgarniach przekład nowej powieści z czasów teroryzmu francuskiego.

*** Międzynarodowa biblioteka scientyficzna, z której kilka cennych przekładów wydała spółka księgarzy, zbogaconą została nowem dziełem znakomitego chemika Wurtz'a pt. „Teorya atomistyczna“. W pracy tej rozebrane są i ocenione dokładnie wszelkie pomysły atomistyczne od czasów starożytnych począwszy aż do Daltona, Dulong'a i Petit'a, Avogadra, Gerhardt'a i Laurent'a, Canizzara i Mendelejewa.

*** „Zalotna wieśniaczka“ obrazek ludowy ze śpiewkami i tańcami pana Władyguskiego (pseudonim), do którego muzykę oryginalną dorobił p. W. Kruziński redaktor „Echa Muzycznego“, ma być w tym miesiącu wystawioną w Łodzi przez towarzystwo pana Teksla.

Pan Władyguski obecnie pisze jednoaktową komedyę pod tytułem „Trudny wybór“ oraz opperettę większych rozmiarów, noszącą tytuł „Warszawiacy“, do której treść wzięta z życia warszawskiej młodzieży.

*** Pani Aleksandra Callier z Poznania, pracowicie i z talentem przyswajająca naszej literaturze różne utwory belletrystyki obcej, głównie zaś Jokaya, bawiła parę tygodni w Warszawie. „Biesiada literacka“ drukować będzie jej przekład „Ukrytych skarbów“ Salwatora Fariny.

*** Pomiędzy publikacyami niemieckiemi ostatniego miesiąca, dostrzegliśmy broszurkę dotyczącą pedagogiki pod tytułem „Zur Reform der Gimnasien“ pióra Edwarda Szelińskiego. Sprawozdania w dziennikach niemieckich o tej książce, brzmią bardzo pochlebnie dla autora.

*** Deotyma w kole swych znajomych czytała nową swą powieść „Branki w jasyrze.“

*** Statystyka dzieł Kraszewskiego. W jednym z krakowskich kalendarzy znajduje się obliczenie statystyczne tego, co napisał Kraszewski.

Cyfry oparte na dokładnym rachunku, są tu prawdziwie zdumiewające.

W ciągu lat 50ciu Kraszewski napisać miał 188,277 stronic, czyli 11,768 arkuszy druku obejmujących 6,589.695 wierszy a 290,946.580 liter!

Jest to ogrom pracy, jakim żaden ze współczesnych autorów poszczycić się nie może.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

*** Czesi postanowili uroczystym obchodem uczcić 50-letni jubileusz J. I. Kraszewskiego. W tym celu zawiązał się komitet z członków literackiego towarz. akademickiego „Slavia.“ Uroczystość ma się odbyć stanowczo dnia 11, b. m. w wielkiej sali „Zofińskiego Ostrowu.“ Program nie jest jeszcze ściśle oznaczony. Prolog obchodu napisze jeden z najlepszych poetów czeskich: do współdziałania zaproszone zostały znaczne czeskie siły koncertowe.

Znany tłumacz czeski p. V. Szpanhel gotuje do druku wydanie jubileuszowe powieści Kraszewskiego „Chata za wsią.“

Wynalazki.

*** Spółzawodnicy Jabłoczkowa. Mnożą się ciągle coraz to nowe pomysły i sposoby oświetlania elektrycznego. O wynalazkach Edisona w tej mierze nic dotąd nie słychać, trzymane są w tajemnicy. Ale natomiast zyskuje rozgłos nowa lampa elektryczna niejakiego Werdermanna, której opis i rysunek podał *Engineer* z dnia 1. listopada. Największe trudności systemu oświetlania za pomocą elektryczności zostały już usunięte, chodzi jeszcze tylko o sposób dowolnego zmniejszania natężenia tego światła i wynalezienia dla elektryczności przyrządu pomiarowego w tym rodzaju jak gazometr dla gazu.

Szkoły.

*** W Politechnice Rygskiej następujący studenci Polacy ukończyli kurs nauk z dyplomami:

Z wydziału chemiczno-technicznego:

1. Józef Iżycki, z gubernii lubelskiej.

Z wydziału inżynieryi dróg i mostów:

1. Woldemar Kindler, z gubernii piotrkowskiej. 2. Antoni Dreling, z gubernii wileńskiej. 3. Tadeusz Korewa, z gubernii kowieńskiej.

Z wydziału inżynierów-mechaników:

1. Józef Witkowski, z Warszawy. 2. A. Brenner, z gubernii wileńskiej.

Z wydziału handlowego:

1. Ignacy Sokołowski, z gubernii kowieńskiej. 2. Jakób Wolberg, z gubernii kowieńskiej. 3. N. Frumkin, z gubernii kowieńskiej. 4. Jakób Newiaski, z gubernii kowieńskiej. 5. J. Rubin, z gubernii kowieńskiej. 6. Aleksander Garszonowicz, z gubernii kowieńskiej. 7. Ch. Rosenthal, z gubernii wileńskiej. 8. J. Gezoff, z Mińska gubernialnego. 9. Józef Rosen, z Warszawy. 10. Władysław Podhorski, z gubernii kijowskiej. 11. E. Fränkel, z gubernii suwalskiej.

Studenci wydziału handlowego, ukończywszy kurs z dyplomem, otrzymali w tym roku tytuł: kandydata nauk handlowych (Candidat der Handelswissenschaften); jest to stopień naukowy, w tym roku dopiero przez ministra finansów zatwierdzony i znajdujący się już na dyplomach tegorocznych studentów wydziału handlowego.

Stopień kandydata odpowiada tutejszemu stopniowi doktorskiemu.

Sprawy ludowe.

W Mikułowie odbyło się zeszłego tygodnia zgromadzenie celem założenia na Górnym Szląsku Towarzystwa włościańskiego. Zebrało się przeszło 200 uczestników; nawet z dalszych okolic ze wsi od 10 — 15 mil od Mikułowa odległych, pospieszyli włościanie nasi na gorące wezwanie zasłużonego redaktora „Katolika,“ pana Karola Miarki. Duchowieństwo — pisze korespondent — niestety! jakby się nie poczuwało do spełnienia wdzięcznego zadania, jakie je tam czekało, świeciło nieobecnością, jeden tylko duchowny raczył osobą swą zebranie zaszczycić. Redaktor Miarka w dwugodzinnej mowie podał pobudki zebrania, objaśniał wymownie statuta przyszłego towarzystwa, potrzebę jego w stronach naszych, wskazywał cele i środki, jakiemi tych dopiąć można. Celem jego ma być zjednoczona praca około podniesienia rolnictwa i domowego gospodarstwa, szerzenie oświaty i moralności, i ratowanie gospodarzy przed lichwą, która rok rocznie tysiące gospodarstw do upadku przyprowadza i z rąk naszych wydziera. Jako środki do dopięcia tak pięknego celu zalecił pan Miarka odczyty, rozprawy i pouczanie się wzajemne na publicznych posiedzeniach, pilne czytanie pism rolniczych, dostarczanie włościanom pożyczek po umiarkowanej stopie procentowej, urządzanie spółek oszczędności i kas zaliczkowych, zabezpieczanie od ognia i gradobicia przez urządzenie osobnego towarzystwa dla górnego Szląska, opartego na wzajemności, ustanowienie wreszcie sądów polubownych, któreby bezpłatnie łagodziły i rozstrzygały spory między członkami towarzystwa. Rozprawy z pola politycznego i religijnego są statutami wykluczone. Statuta, przez mówcę przedłożone, jednomyślnie przyjęto, obrano zarazem i zarząd; przewodniczącym został p. Kanert, dziedzic z Kotułowca. Główną siedzibą towarzystwa jest Mikułow. Zapisało się już około sześciuset włościan z okolicy Raciborza na członków.

Wiadomości ekonomiczne.

*** Na Żmudzi odbyła się w październiku wystawa rolniczo-przemysłowa w Retowie, majętności książąt Ogińskich. Powodzenie się wystawy pod względem nagromadzenia wielkiej ilości okazów było zupełne; a zjazd liczny był świadectwem spojni łączącej wszystkich tamecznych ziemian.

*** 450,000 rubli mógł zarobić jeden z naszych obywateli wiejskich, ale nie chciał, przez lenistwo! Przytacza ten fakt „Korespondent płocki.“ Oto obywatel w jednym z nadgranicznych powiatów płockich posiada las olszowy, mający 54 włók przestrzeni. Przyjechał do tego szlachcica kupiec drzewa z Prus i oświadczył, że kupi od niego 6 milionów szufli, wyrobionych i dostawionych do najbliższej stacyi dr. żel. Chciał dawać 30 tysięcy rubli zaliczki i dostarczyć biegłych robotników. Właściciel lasu przy pomocy ludzi znających się na wyrobie szufli obliczył że jedna szufla z dostawą do kolei kosztowałaby go 22 i pół kop., kupiec dawał za sztukę 30. kop. Właściciel więc mógł zarobić po 15 gr. od sztuki czyli 3 miliony złp. Wolał jednak zrzec się zysku „dla świętej spokojności.“ Jakiż to wymowny rys społeczny!

ROZMAITOŚCI

Stary temat na nową nutę.

Węgierski dziennik „Pesti Naplo“ opowiada ciekawą historyjkę, niby w całości wyjętą ze starych zbójeckich romansów, a przecież najprawdziwszą we wszystkich szczegółach i to z protokułów sądowych pod datą 23. listopada r. b. przepisaną.

Czytelnicy nasi znają zapewne efektowną powiastkę, badaj czy nie Wojcickiego nawet, pt. „Portret króla Jana“, w której główną rolę odgrywa złodziej schowany za starym obrazem przedstawiającym króla Sobieskiego?

Otóż podobnej treści fakt zdarzył się przed tygodniem na Węgrzech w starym zamku Körtvelies, będącym własnością owdowiałej hr. Stubenbergowej, urodzonej Jolan-Bersewicsa.

Hrabina w dniu 22 zeszłego miesiąca odwiedzała w sąsiedztwie swoją przyjaciółkę baronową P. i wróciła po północy do domu.

Znużona nieco tą wizytą chciała jak najprędzej użyć spoczynku, rozebrała się spiesznie w swej sypialni, lecz przedewszystkiem drogocenne klejnoty jakie tego wieczoru miała na sobie, złożyła w szufladzie dużej tualety i już miała ułożyć się na pościeli, gdy przypadkowo rzuciła wzrokiem na obraz przedstawiający Apolina, zawieszony naprzeciw jej łóżka.

Zdało jej się przez chwilę, jakoby piękny bożek mrugnął zalotnie oczami.

Hrabina jest wprawdzie w wieku, w którym śmiało niejeden śmiertelnik mógłby jeszcze „robić do niej słodkie oczy“, ale aby aż malowany Apollo miał ożyć na widok jej wdzięków, to trochę rzecz za wątpliwa; przypuszczała z początku, że to przywidzenie, ale niebawem przekonała się z wielkim przestrachem, iż oczy Apolina mrugały rzeczywiście i wpatrywały się w nią z wielkiem zajęciem.

Gdyby to przynajmniej nie północ, w opuszczonym zamku, w sypialni zamkniętej z zewnątrz według polecenia przez własną pokojówkę, takie sam na sam z Apolinem mogłoby było nawet żywo zainteresować hrabinę, ale wśród okoliczności nadzwyczajnych mrugający bożek słońca z obrazu przejął ją niewypowiedzianą zgrozą, zwłaszcza, że w tej samej chwili spostrzegła też zerwany sznurek od dzwonka u drzwi i przypomniała sobie, iż za obrazem jest głęboka nyża, w której bardzo łatwo dorosły człowiek zmieścić się może.

Nie ulegało teraz wątpliwości, iż piękny Apollo miał oczy pożyczone u... prostego złodzieja, który się zakradł do jej sypialni.

Zbierając resztę odwagi, hrabina ukryła o ile możności swoje pomieszanie, wydobyła z szuflady klejnoty aby ułatwić swemu gościowi rabunek i położyła się do łóżka z silnem postanowieniem udawać śpiącą *à tout prix.*

Po chwili usłyszała szelest, oczy zniknęły gdzieś bez śladu, obraz poruszył się z lekka, wreszcie jakaś tajemnicza ręka wysunęła się z po za ram i odsunęła malowidło.

Z nyży zwinny jak kot zsunął się jakiś człowiek, obejrzał się po sypialni, spojrzał na klejnoty i cichutko na palcach zbliżył się do łóżka hrabiny.

Biednej kobiecie serce zabiło w piersi jak dzwon pożarny. Zdawało jej się, że w ręku złoczyńcy widzi wyraźnie połyskującą stal, czuła gorący oddech młodego mężczyzny, który wpatrywał się w nią badawczo pochylony nad łóżkiem, wreszcie usta jego dotknęły się z lekka jej ust. Hrabina udała, że śpi i nie czuje pocałunku.

Tajemniczy złodziej upewniony co do jej głębokiego snu zbliżył się do tualety, zgarnął cichuteńko wszystkie klejnoty, wyjął wytrych z kieszeni wypróbowany widocznie poprzednio, otworzył drzwi i zniknął w ciemności dalszych apartamentów.

Zesztywniałe z przestrachu i wysilenia członki hrabiny straciły wszelką władzę, nie mogła się poruszyć i tak do samego rana przeleżała w niezmienionej pozycyi, dopiero kiedy pokojowa przyszła jej powiedzieć „dzień dobry“, kazała natychmiast założyć konie do kabryoletu i pojechała do sąsiedniego miasta Almas; tam zatrzymała się przed biurem policyi i stojącemu w bramie policyantowi poleciła na własną odpowiedzialność przyaresztować... własnego woźnicę.

On to bowiem był owym tajemniczym gościem, który w nocy nawiedził jej sypialnię, poznała go od pierwszego wejrzenia, lecz nawet przy pocałunku nie zdradziła się, aby nie paść ofiarą łotra, który chciał

się tylko przekonać czy pani jego spała rzeczywiście i dla tego swą śmiałość tak daleko posunął. Jeden krzyk, otwarcie oczu mogło ją było zgubić niechybnie. Wówczas niezawodnie złoczyńca byłby się posunął nawet do morderstwa, aby ukryć swój czyn karygodny.

Dzielna kobieta, dzięki swej przytomności umysłu, ocaliła siebie i winnego oddała w ręce sprawiedliwości.

Wszystkie klejnoty i kosztowności znaleziono jeszcze tego samego dnia zakopane w zamkowym ogrodzie.

PODRÓŻ PO MOICH KIESZENIACH.

Monolog.

Nie ma co ukrywać przed sobą: wczoraj wieczór byłem porządnie pijany. Kto nie znajdował się nigdy w podobnem położeniu, niech pierwszy rzuci na mnie..... butelką.

Jakim to sposobem się stało?.. Wiem tyle tylko, że byłem na obiedzie w Café Anglais. A potem?.. Ah! potem, plączą się zupełnie moje wspomnienia. Począwszy od pewnej danej chwili, ani wiem co działo się ze mną; ale to kompletnie najmniejszego pojęcia o tem nie mam. Gęsta zasłona okrywa pamięć moją; podobny jestem do widza w teatrze, kiedy w najciekawszem miejscu nagłe zapadnięcie kurtyny przerywa przedstawienie.

A jednak musiało mi się coś przytrafić, niejedno nawet; wszystko przekonywa mnie o tem: krawatka nie zdjęta do snu, taż sama na mnie bielizna, nie odmieniona od wczoraj — a nadewszystko! — twarz znużona i blada... bladym jak cień Banka!

Śliczne rzeczy, nie ma co mówić! W moim wieku, w dwudziestym ósmym roku życia, dać się tak złapać szampanowi, jakby student na wakacyach! Nie, to nie uchodzi....

Od kogo by tu dowiedzieć się o wypadkach upłynionej nocy? A gdybym zapytał mojego służącego? Fe! nie wypada — nie chciałbym rumienić się wobec niego! A zresztą cóżby on mógł mi powiedzieć: o której godzinie powróciłem do domu i w jakim stanie. No, w jakim stanie to już sam się domyślę, bez niego.

Utrzymują, że Cuvier z jednej dostarczonej mu kości zdołał odtworzyć całą postać przedpotopowego zwierzęcia. Pragnąłbym i ja posiadać coś analogicznego, po czem mógłbym zbadać te dwanaście godzin mojego życia — jakąbądź jedną lub ze dwie przynajmniej wskazówki:

Gdzie szukać ich?

Eureka!

Od dzieciństwa przywykłem chować po kieszeniach najrozmaitsze rzeczy. Szukajmy więc! Taki zbrodzień jak ja, zasługuje aby go skrupulatnie zrewidować!..

Drżę cały!... czegoż się dowiem?!..

Zapuszczam delikatnie dwa palce w boczną kieszeń kamizelki i wyjmuję z niej portmonetkę.

Próżna!

Tam do licha! piękny początek!

Przechodzę do paltotu; z nawpół otwartego pugilaresu wypadają na podłogę różne papiery.

Pierwszy z nich, który zwrócił moją uwagę, to rachunek z Café Anglais.

To corpus delicti — za tym śladem mogę zajść daleko.

„Gabinet N. 14." — Byłem pewny tego! Numer czternasty to zwykły terren moich działań.

„Suma ogólna... 820 franków." Oho! jak się zdaje, pozwoliłem sobie cokolwiek!

Iluż nas było? Że byli sami przyjaciele moi, to nie ulega wątpliwości. Ale którzy?

Cudowna myśl! Z tego cośmy jedli, z gustu współbiesiadników, powinienbym odgadnąć ich nazwiska. Spróbujmy.

„Ostrygi portugalskie." Ulubiony przysmak Lucjana; umyślnie każe sprowadzać je sobie z Arcachou.

Zatem Lucjan był na obiedzie, to rzecz oczywista. Mamy więc już jednego.

„Zupa à la purée de gibier." Albo się bardzo mylę, albo zupy tej, a raczej ognia płynnego, zażądał Maksym. To już dwóch!

„Filets de sol à la Joinville." Któżby po tem nie poznał zaciekłego orleanisty, Ferdynanda!

„Młode kaczki z Rouen, nadziewane pomarańczami." Nie trudno się domyśleć dla kogo te kaczki były przeznaczone. Kamil przecież z Rouen pochodzi.

„Sałata po moskiewsku." Mam cię, panie Siemienow! Podobne specyały tobie jednemu tylko mogą smakować.

„Bombe à la cardinal." Bomba?... kardynalska?... Co to może znaczyć?

Ba! jestem w domu; a toż Marceli jest siostrzeńcem kardynała Donnet! czegoż więcej trzeba?

Jesteśmy zatem w komplecie: Lucjan, Maksym, Ferdynand, Kamil, Siemienow, Marceli i ja — całe towarzystwo!

I niechże mi tu Cuvier powie, że w odtwarzaniu przeszłości słabszym jestem od niego!.....

. . . .

Co znaczą te fotografie, rozrzucone po ziemi?

Jest to nieomylne świadectwo, że w towarzystwie naszem znajdowały się i kobiety.

Żadna z tych pań nie umie zjeść obiadu, żeby nie zostawić zaraz swego portretu.

Jest tu na pierwszym planie Henryka, w swoim kostiumie z „Niniche." Zawsze z tym samym głupkowatym uśmiechem. A nie pójdziesz ty mi z oczu!

Tuż obok niej produkuje się nieśmiertelna, a raczej niespożyta Joasia, z upudrowanemi włosami i spoglądająca z ukosa, tak, że aż strach bierze, aby zyza nie dostała.

Ale ta trzecia..... Ah! ta trzecia, kto to może być? nie znam jej.

Rzecz dziwna!

Brzydką nie jest — owszem, nawet piękna. Główka mała i zupełnie w dzisiejszym guście: czoło wąziutkie, nosek maleńki, usteczek prawie nie znać. Ale za to oczy! co za oczy! a brew jaka! San Grevin piękniejszej by nie narysował. O ile wnosić można z fotografii, musi to być blondynka — o co się wcale nie gniewam; chociaż prawdę mówiąc, sam nie wiem dlaczego; drobne pukle jej włosów spadając na czoło, mają pozór i połysk złota.

To prawie dziecko jeszcze: najwyżej siedmnaście lat. Ubiór jej więcej niż skromny: suknia pod szyję, poważnego kroju, tem lepiej odznacza to co winna była osłonić. A co za figurka! jaka kibić! Ojcowie nasi nie omieszkaliby porównać jej z wiotką trzciną. Już to trzeba przyznać, że w porównaniach ojcowie nasi nie byli zbyt silni.

Istotnie, prześliczna dzieweczka!

Nie spostrzegam u niej ani kolczyków, ani jednego pierścionka na palcach. Miałożby to oznaczać jakąś pogardę, lekceważenie błyskotek? Jeszcze to ani zaznało życia, a już chciałoby odgrywać rolę znudzonej życiem. Takie one wszystkie!

Zkąd się ona wzięła? Kto ją przyprowadził? Może to jej pierwszy występ. Widocznie, musiała obok mnie siedzieć; jako amfitryon uczty, nie pozwoliłbym inaczej. Musiałem z nią długo rozmawiać. Co ja jej też mogłem powiedzieć? bezwątpienia wszystkie szaleństwa, jakie tylko przez myśl mi przechodziły. Ona śmiać się musiała i droczyła się ze mną... Tak, tak, inaczej nie byłbym się upił.....

Zsumujmy teraz wszystko: w gabinecie pod numerem 14 znajdowało się sześciu mężczyzn i trzy kobiety. To jest mój personal. Ale przechodząc do akcyi, co się tam działo? Są aktorowie, ale sztuki nie ma. Dalej w podróż po paltocie!

. . . .

Tam, do djabła!

Znajduję dwa bilety wizytowe:

Na jednym z nich:

R. de FAYET-MORET

podporucznik strzelców pieszych.

Na drugim:

JULIUSZ BUTHOT

kapitan z 12 pułku piechoty.

Co to ma znaczyć?

Jak żyję, nie znałem nigdy takich wojskowych!

Ukrywa się pod tem jakieś nieporozumienie, jakaś sprzeczka osobista.

Te dwa bilety wizytowe — sztywne i zimne, a gładkie jak posadzka salonu — widocznie zamienione zostały za dwa moje bilety.

Jest więc i pożądany dramat: pojedynek a może i dwa pojedynki.

Ale z kim i o co?

Musiała nastąpić jakaś obraza. Mam to do siebie, że jestem nieznośny kiedy mam w głowie. Byłżem więc wyzywającym czy wyzwanym?

Coś mi się zdaje jakbym uczuwał jakiś ból w lewym policzku; policzek ten wydaje mi się nawet cokolwiek nabrzmiałym. E, nie, to złudzenie tylko, igraszka wyobraźni zapewne!

W jakąś jednakże fatalną wplątałem się awanturę?

Na bilecie podporucznika spostrzegłem jakiś dopisek ołówkiem: tak, tak, nie mylę się, stoi wyraźnie: „Saint Mandé, o 10 rano?

Masz tobie!

Wyraźnie pojedynek, miejsce i godzina schadzki.

Spieszmy się, może jeszcze zdążę.

Nie, już za późno. — Wpół do dwunastej!

Jestem zgubiony na honorze!! ...

Nikt mi nie zechce mi uwierzyć, skoro powiem prawdę, że zaspałem i że mnie głowa rozbolała.

. . . .

Braknie mi już odwagi do dalszego przeglądu kieszeni.

Ale kto wie, co się tam jeszcze znaleźć może!...

. . . .

Chustka do nosa!

Batystowa cienka jak pajęczyna.

Ale to nie moja chustka.

W jednym z jej rogów cyfry nie moje, a nad niemi korona baronowska.

Zostałem więc złodziejem kieszonkowym! Tego tylko brakowało! Jeszcze jeden krok, a nie miną mnie galery, a kto wie, może i co gorszego mnie czeka!

Biednaż moja głowo!...

. . . .

Zkąd się wziął ten bukiecik w dziurce od guzika? Drobne niezapominajki, zwiędłe już zupełnie.

Zbyt skromny to bukiet, abym kupić go miał u kwieciarki. Dano mi go więc, albo go sam wziąłem.

Dostałem go. To dalszy ciąg legendy o mojej blondynce. Ona mi go dała wiedząc że mam się bić... bić się o nią zapewne.

Niewątpliwie... tak się ma rzecz cała!..

. . . .

Obawy moje wzmagają się.

Przed chwilą pragnąłem wszystko wiedzieć — teraz lękam się dowiedzieć za wiele.

Nie śmiem zupełnie zagłębiać ręki w kieszeniach mojego paletotu.

A gdybym — jak to się zdarza na scenie — wyjął rękę węglem uwalaną, albo we krwi zbroczoną!

. . . .

Ah! mój Boże!

— Cóż takiego.

Ten paltot... to nie jest mój paltot!

Nie, nie!... Mój był koloru bronzowego, a ten jest oliwkowy.

Nie odbyłem więc podróży po własnych kieszeniach, ale po cudzych.

Ależ w takim razie... jeżeli nie moje palto, to i pojedynek nie mój!

Nie mój także i rachunek z Café Anglais!

Ani fotografie!

Ani bilety wizytowe!

I bukiecik do mnie nie należy!

I chustki do nosa nie ukradłem!

Boże mój! jestem ocalony!

A mój romans z blondyneczką?... tego jednego, słowo daję, że mi żal.

Ba! dowiem się o jej adresie od fotografa.....

Karol Monselet.

SPROSTOWANIE.

W N 67. „Tygodnia" w korespondencyi z Monachium, malarz Jan Chełmiński mylnie został nazwany Chełmońskim, który to ostatni artysta mieszka w Paryżu.

Treść Nr. 68.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.**